№ 14. Warszawa, dnia 22 Marca (3 Kwietnia) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

Ks. D-ra Meric'a uwagi o życiu przyszłem,

PRZEZ

J. T. Choińskiego.

(Dokończenie.)

Teologowie wieków średnich, którzy poruszali zagadnienie o wielości światów, kierując się zasadami uczonych, hołdujących systemowi Arystotelesa, a pozbawionych dokładnych narzędzi do obserwacyi, nieprzychylnie oświadczali się w kwestyi przypuszczenia o światach zamieszkanych, z czego im trudno robić zarzut, gdyż brali za podstawę swych rachunków dane naukowe tych czasów, w których żyli.

Ziemia nieruchoma i tylko sama jedna zamieszkana, otoczona dziesięciu sferami, po za któremi rozciąga się niebo empiryjskie, mieszkanie błogosławionych, gwiazdy nieruchome i niepodlegające zniszczeniu, oświetlające ziemię i ten szczupły horyzont, takie było pojęcie astronomiczne, przyjęte i objaśniane przez teologów. Niebiosa były małe a ziemia wielką.

Lecz nauka, uzbrojona w teleskop i za pośrednictwem analizy spektralnej, promieniami swego światła przedarła się przez te nieprzebyte sfery otaczające ziemię, odkryła komunikacyjne drogi, które się ciągną w rozmaitych i dalekich kierunkach firmamentu, myśl puściła się temi drogami, zwiedziła planety, gwiazdy, słońca i okazało się, że człowiek mniej był zdziwiony ogromną wielkością świata niebieskiego, co się przed nim odkrywał, aniżeli małością naszej ziemi, tego ziarnka piasku i ciasnego mieszkania, które nieświadomy nasz umysł uważał za najpiękniejszy i największy z światów.

Astronomowie zapragnęli zmierzyć odległość, jaka nas dzieli od tych gwiazd, które uważano za bliższe i nieruchome w ciszy firmamentu. Dla nadania ścisłej dokładności swym rachunkom, zamiast metody paralaksy bezwzględnej, przyjęli metodę paralaksy względnej i przekonali się, że światło dla przebieżenia odległości, jaka nas dzieli od najbliższych gwiazd, z szybkością 77,000 mil na sekundę, potrzebuje 2,350 dni, kula zaś działowa z prędkością 500 metrów na sekundę, przebiegłaby tę odległość w cztery miliony lat. Sięgając dalej po za te gwiazdy, coraz dalej w dostrzegalne głębie firmamentu i znużywszy się wysileniem uwagi, będziemy mieli zaledwie słabe pojęcie o przestworze bez granic, zapełnionym iskrzącemi globami i otaczającym ziemię naszą. To nowe światło, te nowe odkrycia naukowe zmieniły natychmiast pojęcie o wspaniałym widoku firmamentu.

Przy takiej odległości gwiazd, których istnienia dawniej nie domyślano się, widocznem jest, iż wzrok ludzki nie mógł odgadnąć ani przestrzeni, co te gwiazdy jedne od drugich oddziela, ani harmonii ich ruchów, a przeto i nieruchomość tychże gwiazd zaprzeczoną nie była.

Dziś jednak, zostawszy panami odległości, którą zmierzyli astronomowie, prowadząc dalej ścisłe rachunki, wiemy, że nasze słońce, którego objętość jest większa około 1,300,000 razy od objętości ziemi, byłoby od nas widziane zaledwo jako punkt światły i niewyraźny, gdyby znajdowało się względem nas w średniej tylko odległości gwiazd pierwszej wielkości. Gwiazdy więc, które błyszczą nad naszemi głowami, są to słońca i łatwo domyślić się liczby tych wielkich świateł, uważając, że sama droga mleczna zawiera przynajmniej 20 milionów słońc widzialnych i że znajduje się we wszechświecie więcej jak pięć tysięcy mgławic rozpoznanych, uporządkowanych, podobnież obszernych i zapełnionych słońcami jak droga mleczna.

A te wszystkie światy są w ruchu; nieruchomość bowiem gwiazd błędnem była mniemaniem. Cassini, Mayr i Argelender ułożyli tablice i opisali ruchy wielkiej liczby gwiazd, objaśnili zaś i dowiedli, że miliony globów, podobnych do naszego słońca, przebiegają niezmierną przestrzeń z szybkością kuli działowej, nie uderzając się, ani spotykając, podległe prawom; których wieczna zgoda jest wyrażeniem rozumu i mądrości Tego, który stworzył wszystko, co w około żyje.

Lecz niedość nauce przebieżenie tak ogromnej przestrzeni i ważenie globów niebieskich, których ogromna objętość dowodzi nadzwyczajnej szczupłości naszego mieszkania. Uczeni, uzbrojeni w teleskop, którego własność powiększania odkrywa niezmierzone drogi firmamentu, obejrzeli niektóre planety, zbadali ich satellity, poznali warunki zamieszkalności i życia, jakie one przedstawiają i pod wpływem tych szybkich odkryć, porywającemi słowy opisali podobieństwo ziemi i nieba.

Spostrzegli oni na niektórych planetach i satellitach góry, doliny, atmosferę zdatną do życia i oddychania, obłoki, następstwa pór roku, nieprzerwane odmiany dnia i nocy, obliczyli ich dnie, miesiące, lata po sobie następujące i zastanawiali się nad niezmierną armią gwiazd, stanowiącą wspaniały namiot.

Analiza spektralna, zastosowana do gwiazd, wkrótce wydała niespodziewane rezultaty i stała się podstawą nowej nauki, chemii przekształconej i dopełnionej.

Uczeni rozebrali światło słoneczne i znaleźli w atmosferze „gwiazdy dziennej" substancye wapna, potażu, chromu i niklu. Badając dalej widmo księżyca, planet, najodleglejszych gwiazd i opierając się na prawie podobieństwa, opisali naturę chemiczną tych światów, których tajemnic teleskop nie był w stanie odkryć.

Z prążków atmosferycznych, wywołanych przez parę wodne, wywnioskował Janssen, że taka sama para wodna znajduje się w atmosferach Jowisza i Saturna.

Przyroda obfitą jest w życie, którego objawami zapełnia wszystkie miejsca przestrzeni. Dlaczegóż nie możnaby więc wnosić, że te niezmierne światy, których istnienie, natury i prawa teleskop nam odkrył, są zamieszkane przez istoty żyjące i że wszędzie, gdzie nauka wskazuje mieszkanie, rozum dozwala przypuszczać obecność mieszkańca?

Od zwierzokrzewu do ssącego a dalej do człowieka, nauka widzi i śledzi stopniowe a ciągłe podnoszenie się natury żyjącej i stara się uchwycić niepojęte przejścia z jednego królestwa do drugiego, oraz granice, dzielące minerały od rośliny, rośliny od zwierząt, a zwierzę od stworzenia rozumnego, które panuje i rządzi w wszechświecie. Mięczaki, kręgowate, stawowate i ssące, ileżto rodzajów i gatunków rozmaitych w naturze i życiu, pośrednich aż do człowieka. Dlaczegóż nie miałoby iść tak samo wyżej, woła prof. Meric, od człowieka do czystego ducha, do anioła, nie mającego żadnej powłoki materyalnej, czyli cielesnej. Dlaczegóżby Opatrzność, która od najniższych szczebli coraz wyżej stopniuje życie i przygotowuje naturę do wyższych doskonałości, aż do ciała ludzkiego, nie miała w dalszym ciągu i wyżej zastosować tego powszechnego prawa? Od człowieka do anioła byłoby jeszcze miejsce dla pewnej liczby stworzeń pośrednich, którychby natura i organizm różniły się od natury i organizmu człowieka, a zastosowane były do warunków klimatycznych i fizyologicznych, wymaganych przez sam stan globów zamieszkanych.

Nie znajduję, mówi ks. Meric, ani w naturze Boga, ani w naturze człowieka, żadnego dowodu do zbicia tego poważnego domysłu lub lekceważenia go. Bóg na mocy swej dobroci ustawicznie dąży do rozlania życia w około siebie.

Dlaczegóż nie miałby najwierniejszy chrześcianin puszczać wzroku swego między słońca, zdobiące firmament? Nie próżna ciekawość, lub jakaś nieokreślona żądza wyobraźni, zwraca oko człowieka w sposób niepokonany ku tym jasnym mieszkańcom wyżyn. Umysł nawykły do cierpliwej obserwacyi zjawisk objawiających się w duszy, z łatwością poznaje, że ta skłonność i ten pociąg głęboko są zakorzenione w naturze naszej i mają inną podstawę, niż poetyczne naszych marzeń złudzenie.

Powaga uczonych, dowodzących istnienia wielości światów zamieszkanych; ilość, objętość i rozległość tych światów niebieskich; szczupłość ziemi przez nas zamieszkanej; wstręt do nicości i próżni i niezliczona ilość istot żyjących i zewsząd nas otaczających; prawa, których Bóg trzyma się w ogólnej ekonomii stworzenia, utrzymania i zarządu stworzeniami, takie są powody, które każdego myślącego człowieka wzywają do podniesienia głowy, rozważania tych światów i uznania, iż prawdopodobnem jest, że te obszerne i niezbadane krainy firmamentu, nie są wskazane na osamotnienie i ciszę w nicości, lecz zamieszkane bez przerwy, po całych przestworzach głoszą wdzięczną modlitwę stworzeń, znających Boga.

Teologia chrześciańska obcą jest, podług ks. Merica, temu przypuszczeniu, postawionemu badaniom ludzkim. Czy te światy niebieskie są zamieszkane czy puste, nie do teologów należy rozstrzygać i dogmat katolicki o wcieleniu i odkupieniu nie jest zagrożony, choćby nawet twierdzące rozwiązanie nastąpiło. Podług bowiem bardzo słusznej uwagi pewnego znakomitego teologa, ogólna ekonomia chrześcianizmu wyłącznie tyczy się ziemi, którą zamieszkujemy, ludzkości pochodzącej od Adama i odkupionej krwią Chrystusa; a istotna prawda, trzymająca się rozsądnych granic prawowierności chrześciańskiej, zależy na tem, abyśmy pokoleń, zamieszkałych na gwiazdach, których prawa jeszcze nie są nam znane, nie robili potomstwem Adama.

Na tem kończy się część naukowa (po krótkiej jeszcze wzmiance o spirytyzmie) dzieła ks. Merica. Część druga zawiera szereg traktatów czysto teologicznych, których treść nie jest przystępną dla szerszych kół czytelników.

Część pierwsza odznacza się wielką erudycyą i jasnością wykładu. Ks. Meric umie bardzo wiele, szanuje naukę i nie myśli wcale praw jej ograniczać.

Sam przekład, dokonany na język polski przez ks. Prusałajtysa, zasługuje ze wszech miar na uznanie. Dykcya czysta i uduchowniona sprawia czytelnikowi prawdziwą przyjemność.

Śmierć gołębia.

Był śliczny, mieniący i jasny,
I długo się topił w błękicie,
I miał swój marzenia świat własny,
I kochał życie.

I dziwną czuł żądzę natchnienia,
Gdy pierś się samotnie rozgrucha,
I czuł, że jest posłem zbawienia,
Świętego Ducha.

I wzniósł się nad ziemską nicością,
Ufając w tej prawdy konieczność —
Że można świat zbawić miłością,
I zyskać wieczność.

Lecz o chmur kopułę lodową,
Pierś zranił wzniesioną natchnieniem,
Kroplę krwi nad strojną niósł głową
I spadł z zwątpieniem.

I cicho Bóg patrzył z swych szczytów,
Szyderska roześmiała się głębia,
Na ciężki upadek z błękitów,
Skrzydeł gołębia.

O, Boże! o, Boże! dlaczego
Z niebiosów gołębia tak spychasz?
Ufności czy nie żal ci jego?
Czy nad nim wzdychasz?

Ah! czyżby twórcza Twa siła,
Tak smutno musiała tam władać,
I na to nam skrzydła stworzyła,
By na nich spadać!

I miłość co z Tobą nas sprzęga,
Tak ciężko ma rwać się ku górze,
I płonąć jak czarna krwi wstęga,
Na skrzydeł piórze!

Z mądrości przedwiecznej wyników,
Upadków tych może potrzeba,
I takich bolesnych wykrzyków,
By dosiądz nieba!

Któż sądów się Bożych dosłucha,
Lecz że jest, wierz nędzą człowieka,
Nad twoim gołębiem opieka,
Świętego Ducha!

Szczęsna.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

CZĘŚĆ TRZECIA.

VI.

Tak więc panna Tallevant pozostała w pałacu, gdzie ją otoczono najuprzejmiejszą, najserdeczniejszą gościnnością. Dopuszczona tak niespodziewanie do poufnego towarzystwa dwóch osób tak dystyngowanych, których dom urządzony był z wyszukanym przepychem i elegancyą, nie okazała najlżejszego zmieszania, ani też nie zdawała się czuć nie na swojem miejscu. Do zwykłej kobietom rzutności i giętkości umysłu, łączyła pewną powagę a nawet jakiś rodzaj wrodzonej godności, dzięki którym umiała znaleźć się i zastosować do najwytworniejszego towarzystwa. Sama już wielka jej duma i pycha, strzegły ją od prowincyonal-

nych zadziwień i nietaktowności. Tylko nagły ruch powiek i ciekawie utkwione spojrzenia zdradzały niekiedy podziw, jaki budził w niej wykwintnie wyszukany zbytek, całkiem jej dotąd nieznany. Szczególniej w pierwszych dniach pobytu w pałacu, nie narzucała gospodarstwu częstego swego towarzystwa. Po kilka godzin dziennie, z krótkiemi przerwami, spędzała przy łóżku Joasi, doglądała jej, opatrywała, poczem odchodziła do swego pokoju, zabierając tam kilka książek z biblioteki pałacowej. Po obiedzie tylko, jeżli pogoda sprzyjała, odbywała krótką przechadzkę po parku z Alietą i Bernardem, w przeciwnym razie pozostawała z nimi w salonie. Mówiła nie wiele ale dobrze, wysłowienie jej było jędrne i ścisłe; umiała okazać, bez wyraźnego popisywania się, że posiada głębokie wszechstronne ukształcenie; to tylko raziło w niej nieprzyjemnie, że o czem bądź rozmawiała, przejawiał się w jej słowach zimny, z szyderstwem graniczący indyferentyzm. W takich razach, pan de Vandricourt odnajdywał w niej ową wyniośle drwinkującą nimfę leśną, tak zuchwale szydzącą z niego i z praw przysługujących mu jako właścicielowi.

W innych okolicznościach, zapewnie przyszłoby na myśl Aliecie, że przezorność nie dozwala dopuszczać tak poufnie do domowego pożycia osobę tak piękną i tak zajmującą swoją dziwną oryginalnością; ale obecnie, zajęta wyłącznie zdrowiem córki, zaledwie uspokojona o jej życie, nie zastanawiała się nad tem, uczuwając tylko dla Sabiny najżywszą wdzięczność, podziwiając zarazem nadzwyczajną zręczność ślicznych jej rączek, z jaką opatrywała rankę powracającej do zdrowia Joasi. Nieco później, gdy już spokojniejszą była o wyszłą z niebezpieczeństwa ukochaną córeczkę, mówiła swobodnie mężowi, jakie wrażenie zrobiła na niej panna Tallevant:

— Nie mogę powiedzieć, że mi się podoba, gdyż byłoby to wyrażenie nieodpowiednie, ale doprawdy oczarowała mnie... wydaje mi się istną czarodziejką.. Uważaj tylko jej chód tak cichy i lekki, jakby stopami nie dosięgała ziemi... chodzi jak lunatyczka... przypuszczam, że tak stąpać musiała lady Macbeth... Tylko, że jest dobrotliwa czarodziejka, lady Macbeth siostra miłosierdzia...

— O! bodajto moja śliczna żoneczka — odpowiadał — czarodziejka!... lady Macbeth!... jest-to piękna panna, nic więcej.

Dzięki połączonym usiłowaniom i poświęceniu Sabiny i doktora Raymond, a szczególniej zbawiennemu współdziałaniu doktora Tallevant, który codziennie odwiedzał chorą, Joasia uniknęła strasznych następstw, objawiających się często po tak trudnej operacyi. W końcu trzech tygodni doktor Tallevant oznajmił, że zniknęło już wszelkie niebezpieczeństwo, nie ma więc powodu, aby siostrzenica jego pozostawała dłużej w Valmontiers. Daremnie Bernard, oprócz zapewnień niewygasłej wdzięczności, pragnął skłonić go do przyjęcia odpowiedniego honoraryum. Za nic w świecie! odpowiedział pan Tallevant... nie wolno mi to nawet... nie jestem już doktorem praktykującym... leczę tylko przez miłosierdzie albo przez przyjaźń...

— Dobrze! trzymam cię więc za słowo, doktorze, zostańmy więc przyjaciołmi do końca życia.

— Zgoda! a nawet jeżli już koniecznie chodzi o honoraryum, przyznaję, że na jedno przystałbym chętnie... to jest gdyby pani de Vandricourt pozwoliła mi się uściskać, bo lubię ją, cenię i szanuję bezgranicznie.

— O! z całego serca, kochany doktorze — zawołała Alieta, podając mu oba z kolei policzki.

Łatwo pojąć, że dwie tak szlachetne istoty, jak Bernard i Alieta, nie mogli zapomnieć o przysłudze, oddanej z taką bezinteresownością, to też od tej chwili nie pomijali najmniejszej sposobności dozwalającej im dawać dowody niezmiennej przyjaźni panu Tallevant i jego siostrzenicy. Co do pana Tallevant, nader trudne było wymyśleć coś coby jemu osobiście sprawiło przyjemność; całe swoje zamiłowanie i wszelkie upodobania zześrodkował w nauce, tak więc wszelkie grzeczności, przyjęte między ludźmi światowymi, mogły tylko przykrość mu sprawić, odrywając od ulubionych zajęć. Zatem tylko bezpośrednio do siostrzenicy jego, mogli zwracać dowody swej wdzięczności.

Jakkolwiek nie skłonna do zwierzeń, jednak w miarę wzrastającej zażyłości, panna Tallevant niejednokrotnie miała sposobność mówienia z Alietą i Bernardem o swej rodzinie, o matce od dawna sparaliżowanej i o jej położeniu w domu pana Tallevant; potwierdziła nawet poniekąd obiegającą w okolicy pogłoskę, o zamierzonem małżeństwie jej z opiekunem. Ślub miał się odbyć na przyszłą wiosnę, po dojściu jej do pełnoletności; państwo de Vandricourt obiecywali sobie skorzystać z tej sposobności, aby módz ofiarować pannie Tallevant kosztowny jakiś upominek. Nim to nastąpi, otaczali ją szacunkiem, względami i najuprzejmiejszemi sąsiedzkiemi grzecznościami.

Alieta często bardzo bywała w La Saulaye, i nie raz zabierała piękną sąsiadkę na parę dni do Valmontiers. Pan Tallevant zezwalał na to wykradanie, choć pozbawiało go niekiedy pożytecznej współpracowniczki, ale cieszył go i pochlebiał mu zarazem tak poufały stosunek jego narzeczonej, z młodą, dystyngowaną kobietą, której wartość moralną prędko umiał poznać i ocenić. Niekiedy wyrzucał sobie, że skazał wychowanicę swoją na zbyt surowe i odosobnione życie, to też rad był niewymownie, że nadarza jej się czasami sposobność zabawy i rozrywki!

W pośród rozrywek i przyjemności jakie państwo de Vandricourt starali się nastręczać pannie Sabinie, niepoślednie miejsce zajmowało polowanie. Oznajmiając jej, że odtąd może polować w jego lasach i na jego gruntach w jaki tylko sposób jej się spodoba, choćby nawet przez zastawianie sideł, nie obawiając się spisania protokułu, Bernard przypomniał pierwsze ich spotkanie, nie ukrywając bynajmniej, że wzbudziła w nim wtedy uniesienie gwałtownego gniewu.

Przypomnienie to rozśmieszało ją bardzo; na jej policzkach odznaczyły się dwu dołeczki a jednocześnie usta rozchylały się jak kielich pięknego ponsowego kwiatu, ukazując dwa rzędy ślicznych, drobnych, białych jak perły ząbków. „Co za szkoda, że tak rzadko się śmieje, pomyślał pan de Vandricourt, bo wtedy jest czarująca!" Niestety! była nią choć się i nie śmiała!

Panna Tallevant polowała tedy bardzo często w towarzystwie państwa de Vandricourt i probowała, bez wielkiego przecież powodzenia, przelać w Alietę swoją zimną krew i spokój w obec zwierzyny, a ta w zamian uczyła ją, z pomocą męża, sztuki pięknego jeżdżenia konno; z czego pojętna uczenica nader szybko korzystała. Pięknie zbudowana, zręczna i śmiała, Sabina łączyła w sobie wszelkie niezbędne przymioty do brilowania w tym rodzaju sportu, gdyż sam ubiór do konnej jazdy uwydatniał pełność i harmonię jej posągowych kształtów. Jeden z najpiękniejszych wierzchowców ze stajni hrabiego był przez niego samego ujeżdżony dla niej i przeznaczony do jej wyłącznego użytku, zanim okoliczności pozwolą ofiarować jej go w podarunku ślubnym.

Te codzienne niemal widywanie się, wypadki wydarzające się na polowaniu, lekcye jazdy konnej, a po obiedzie próby walca, musiały wytworzyć między państwem de Vandricourt a panną Tallevant nader poufały i swobodny stosunek. Szczególniej pan de Vandricourt, nie przekraczając granic szacunku i towarzyskiej konwencyonalności, przybrał przecież w obejściu z Sabiną ulubiony sobie ton delikatnej ironii. Ale pod tym względem trafił swój na swego; panna Tallevant mogła śmiało walczyć z nim o palmę pierwszeństwa pod względem delikatnego drwinkowania i szyderskich słówek wiele dających do myślenia. Jej poważny i zarazem wyrazisty dźwięk głosu, nadawał się doskonale do sarkastycznego tonu, jakim posługiwała się chętnie w rozmowach ze swoim nauczycielem tańca i konnej jazdy.

Zdarzało się niekiedy, że ten lub ów powód zatrzymywał Alietę w domu, wtedy Bernard i Alieta wyjeżdżali sami czy to na polowanie, czy na konną przejażdżkę, a jakkolwiek towarzyszył im zawsze ktoś ze służby, były to przecież prawdziwe sam na sam, nie rażące jednak z powodu, iż wiedziano powszechnie, iż panna Tallevant wychowana była jak młode Amerykanki, wielkiej używając swobody. A potem te ich sam na sam nie nastręczały najlżejszego pozoru do obmowy. Rozmawiali zwykle o koniach i polowaniu, a wyczerpawszy ten przedmiot rozpoczynali zwykle nieszkodliwe swoje utarczki na słowa i pół słówka. I tak raz Bernard widząc z jaką zimną obojętnością Sabina patrzy na dogorywającą sarnę, powiedział jej:

— Doprawdy, piękna sąsiadko, sądząc z tysiąca i jeden symptomatów, obawiam się, że nie masz serca.

Orzuciwszy go bystrem spojrzeniem, odpowiedziała spokojnie:

— Ja znów wnosząc z tysiąca i jeden symptomatów, obawiam się czy pan nie ma go za wiele.

Innym znów razem powiedział:

— Czy wiesz panno Sabino i kochana sąsiadko, co najwięcej podoba mi się w tobie?... Oto, że nie posiadasz żadnych przymiotów kobiecych.

— A tak — odpowiedziała — bo spodziewa się pan, że w zamian posiadam wszelkie kobiece wady.

— Nie jest to niemożebne.

— Jest-to niezawodne.

Oto w jakim tonie prowadzili niewinne swoje rozmowy.

Upłynęło jednak trzy miesiące od czasu zupełnego wyzdrowienia Joasi, a hrabia de Vandricourt nie objawił ani razu choćby najlżejszej chęci jechania do Paryża, dla odżycia po nudach wiejskich. Daremnie Alieta przypominała mu od czasu do czasu program jaki sobie ułożyli. Po cóż mam wyjeżdżać, odpowiadał, kiedy przyzwyczaiłem się do wsi i nie nudzę się bynajmniej... Aklimatyzuję się tu... zaskorupiam... nie trzeba temu przeszkadzać... aby nie opóźniać krystalizacyi... Zresztą, skoro chcesz jechać do Paryża po Wielkiejnocy, zaczekam i pojedziemy razem w Kwietniu.

Ale nadszedł Kwiecień, a zamierzony wyjazd nie nastąpił. W tym jakoś czasie, zdrowie Aliety, długo odczuwającej gwałtowne wstrząśnienia doznane w Saint Germain, a następnie mocno zachwiane z powodu choroby córki, zaczęło budzić

pewien niepokój. Często teraz zapadała w nagłe osłabienie, niekiedy zamieniające się w zupełne zemdlenie. Jednak pan Tallevant, uznał zgodnie z doktorem Raymond, że nie było to nic groźnego, gdyż żaden organ żywotny nie jest zaatakowany, zatem jest-to tylko stan anemiczny, spowodowany gwałtownym niepokojem, wstrząsającym nią podczas choroby córki.

Alieta nalegała, aby nie zmieniając projektu pojechali do Paryża, ale Bernard nie zgodził się na to, mówiąc: — Droga Alieto, wszak rzeczywiście dla mojej tylko przyjemności chciałaś pojechać, a czyż mogłoby mi zrobić przyjemność, abyś przymuszała się do pobytu w Paryżu, będąc tak ciepiącą?... Lecz, moja droga, staraj się wzmocnić, uspokoić rozdrażnione nerwy, odzyskaj zupełne zdrowie, a zamiast teraz pojedziemy do Paryża w jesieni, jak powrócisz od matki.

Pani de Vandricourt pragnęłaby bardzo uspokoić biedne swoje rozdrażnione nerwy, jak jej to mąż zalecał dobrotliwie, ale trzeba było, aby on właśnie jej do tego dopomógł, ale niestety, jak to zapewnie czytelnicy odgadli, rzecz miała się całkiem przeciwnie.

Uspokojona zupełnie co do zdrowia córki, odzyskawszy właściwą sobie przenikliwość i bystrość umysłu, Alieta musiała zrozumiéć niestosowność a nawet niebezpieczeństwo jakie mógł pociągnąć za sobą tak ścisły, przymusowy prawie stosunek, jaki zawiązał się między mieszkańcami La Saulaye a Valmontiers. Obecnie, tak niespodziewane i nagłe zamiłowanie męża tego cichego życia wiejskiego, które dawniej zaledwie znosił, iż nawet na kilka dni rozstać się z niem nie chciał, musiało nareszcie otworzyć jej oczy. Widocznie miał jakiś ukrywany powód, zatrzymujący go na wsi, który opanował myśli i miłą dlań stanowił rozrywkę. Pani de Vandricourt jasną zdawała sobie z tego sprawę, jak nieprzeparty powab mieć mogła dla człowieka tak zobojętniałego skutkiem powodzeń salonowych, osobistość tak niezwykła jak panna Tallevant, przez swą nadzwyczajną piękność, moc duszy i jakąś otaczającą ją tajemniczość. Obawiała jej się nietylko jako kobiety mogącej wydrzéć jej serce męża, ale jako wrogiego ducha, istoty szyderskiej i zgubnej, jako jakiegoś szatana obracającego w niwecz zbawienny jej wpływ na umysł męża, unicestwiającego wszelkie jej marzenia i nadzieje żony chrześcianki. Wiedziała o tem że skutkiem odebranego wychowania, Sabina nie miała żadnej religii, że obce jej były wierzenia dla niej tak drogie i tylko nie umiała zdać sobie sprawy dla czego ta jawna niewiara zaledwie rażąca ją w doktorze Tallevant, w młodej jego wychowanicy była dla niej tak wstrętną i odrażającą.

Ale cóż było czynić? Pan Tallevant ocalił jej córkę od niechybnej śmierci; panna Tallevant tak czynny przyjęła w tem udział — mogłaż ich odtrącić? Ale ten ciężki obowiązek wdzięczności, zniewalający ją przyjmować mile, tę którą wtedy już uważała jako ducha złego wdzierającego się do jej domowego ogniska, straszną stawał się dla niej męczarnią.

Tak sprzeczne uczucia szarpiące duszę Aliety, wstrząsały nią aż do głębi, skazując zarazem na przykry, nieustanny przymus, nader zgubnie oddziaływający na jej zdrowie.

Ale jednocześnie i pan de Vandricourt, jakkolwiek nie tak boleśnie dotknięty, nie był jednak spokojny. Jednak nie były tego powodem cierpienia powodowane zazdrością oraz moralne obaby i niepokój żony, ponieważ nie domyślał się ich bynajmniej. Jak w ogóle kobiety, Alieta umiała ukrywać swe wrażenia i obawy, a potem tak zajęty był panną Tallevant, iż nie zwracał uwagi na nic co tylko nie odnosiło się do niej. Jak każdy opanowany przez podobną namiętność, na wszystko zresztą patrzył z obojętnem roztargnieniem; widział tylko swoją namiętność, przekonany, jak zwykle w takich razach, że nikt jej nie widzi prócz niego. Był przekonany, że zachowanie i obejście jego z niebezpieczną sąsiadką jest najzupełniej nienaganne. Wprawdzie korzystał jak mógł najczęściej z poufnych sąsiedzkich stosunków jakie nastręczył im zbieg okoliczności, wyszukiwał sposobności zbliżenia się do niej, dotknięcia jej ręki, napawania się każdem jej słówkiem, oddychania jej tchnieniem, ale nigdy najlżejszem postąpieniem lub choćby tylko nierozważnem słówkiem, nie zdradził swej tajemnicy. Wierzył też niezachwianie, że jest wyłącznym jej posiadaczem, jakoż rzeczywiście z wyjątkiem dwóch osób najwięcej w tem interesowanych, to jest żony jego i panny Tallevant, nikt się jej nie domyślał. Wiemy, że pan de Vandricourt nie był ani dzieckiem, ani głupcem, ani szaleńcem, przeciwnie posiadał umysł otwarty a nawet przezorny, ale był zakochany, zakochany szalenie, po raz pierwszy może w życiu, w skutku czego większość władz jego umysłowych podlegała obecnie zupełnemu prawie zaćmieniu.

Szczęściem moralne jego przymioty nie zapadły w letarg, walczył więc mężnie z sobą, nie chcąc bez oporu poddać się zgubnej namiętności. Nie taił bynajmniej przed sobą, że najprostsze prawa nietylko moralności ale i honoru, nie dozwalały mu starać się o pozyskanie serca panny Tallevant. Wszak była ona krewną, wychowanicą i zarazem narzeczoną człowieka, którego nauce i poświęceniu zawdzięczał życie córki. Sprowadzając ją z drogi cnoty, dopuściłby się względem pana Tallevant najnikczemniejszej niewdzięczności i najniecniejszej zdrady. Wiedział o tem i rzeczywiście czynił co było w jego mocy, aby nie wpaść w tę przepaść hańby, z wyjątkiem jednej tylko rzeczy, od której właśnie zacząć był powinien, to jest uciekać!

Nie mając siły uciekania od uroku, jaki wywierała na niego ta piękna i tak niezwykła dziewczyna, uspokajał sumienie swoje samem już uprzytomnianiem sobie nieprzepartych, rozłączających ich zawad. Doświadczę raz w życiu, myślał sobie, gwałtownych wzruszeń wstrząśnień nieszczęśliwej miłości i niezasyconej żądzy, lecz sam tylko cierpieć nad tem będę... A zresztą raczej odebrałby sobie życie, niż miałby tak niecnie, tak ohydnie zdradzić zaufanie człowieka, który konającej już prawie dziecinie jego przywrócił życie.

Jakby dla podwojenia i umocnienia niemożliwych do obalenia zapor, rozdzielających go z Sabiną, zaprzyjaźniał się coraz ściślej z panem Tallevant, dla którego uczuwał rzeczywiście coraz większy szacunek i sympatyę. Wiedział od leśniczych i fermierów, że pan Tallevant nietylko udzielał codziennie porady lekarskiej biednym okolicznym mieszkańcom i znaczne bardzo, jak na szczupły swój majątek, udzielał jałmużny, ale nadto ponosił dla nich ofiary stokroć większą jednające mu zasługę, poświęcając im co rano czas tak drogi dla niego i odrywając się od ważnych prac naukowych. Wiedząc z jak namiętnem zamiłowaniem pan Tallevant oddawał się uczonym swoim badaniom i opracowaniu ważnego naukowego dzieła, mającego być streszczeniem ich rezultatów, tem więcej podziwiał i wyżej cenił jego ciche, nie szukające chluby miłosierdzie, szlachetną hojność i bezinteresowność. Dzieło swoje od dwóch już lat wydawał poszytami i pierwsze zaraz wyszłe z druku zjednały mu najwyższe uznanie Instytutu. Był to rodzaj szkicu historycznego o rozwoju i postępie nauk przyrodzonych, od początku do końca bieżącego wieku i nosił tytuł: *Inwentarz naukowy XIX wieku.* Sam już pomysł podobnego przedsięwzięcia, urzeczywistniony w niezbędnych jego warunkach rozwoju i metody, miał w sobie coś zdumiewającego. Pan Tallevant poświęcił się temu zadaniu od lat młodzieńczych, z zapałem i gorliwością apostoła, gdyż umiłował naukę nietylko ze względu rozkoszy umysłowych, jakiemi go napawała, ale nadto kochał ją prawie jakiemś pobożnem uczuciem z powodu ważnych następstw, jakich spodziewał się po niej dla moralnej i religijnej przyszłości ludzkości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

X.

Bartek dość długo siedział sam w owej maleńkiej, sklepionej komnatce, patrzącej raczej na więzienie, jak na izbę gościnną. Usiadł sobie na zydlu podle okna i patrząc na owe niebo na zachodzie, które mieniło się złotem, fioletem i purpurą, zamyślił się głęboko. Jego prosty, wrażliwy umysł uderzała posępna melancholia natury, jaka odziewała całą okolicę widzialną z okienka baszty zamkowej. Pola dokoła zamku i za miasteczkiem błyszczały białym całunem śniegu, a dalej już czerniały lasy, wyraźnie rysujące się pojedyńczemi nawet drzewami na czerwonem niebie zachodu. Tuż pod zamkiem bagna i trzęsawiska, pokryte po większej części zżółkłą trzciną, pełne oparów, z których biała, mętna mgła się unosiła. Szybko bardzo zapadał mrok nocy zimowej i w mroku tym jeszcze smutniej, jeszcze bardziej ponuro wyglądała cała okolica. Gromady wron przebiegały powietrze, ciągnąc ku lasom, lub siadały na pokrzywionych wierzbach nad bagniskami i chwiejąc się na ich suchych gałęziach krakały głośno.

Ta smutna przyroda rozlewała jakiś żal po duszy Bartka. Siedział, patrzał i ani się spostrzegł, że czas upływa, że komnatę zaległa zupełna ciemność i że nikt do niego nie przychodzi. W zamku było tak cicho, jakby makiem zasiał, jeno z zewnątrz dochodziło ciągłe krakanie wron. Na ostatek znudziło się to wszystko Bartkowi. Zerwał się z zydla, obejrzał dokoła i rzekł:

— Cóż u dyabła, zapomnieli o mnie, czy co?

Nadstawił uszów, czy nie usłyszy jakiego głosu. Nic, cisza.

— A to psubraty!

I ruszył po omacku ku drzwiom. Doszedłszy do nich, otworzył i patrzy, na schodkach ciemno. Nie uważał, że drzwi są niskie i chcąc wyjść uderzył się o odrzwia łbem tak silnie, że mu czapka zleciała a w oczach wszystkie gwiazdy zaświeciły.

— Bodaj to jasne pioruny trzaskały! — krzyknął i stękając, macając się po łbie, ostrożnie

i zwielką uwagą począł złazić po wąziutkich, kręcących się schodkach. Nareszcie stanął w bramie. Ta była słabo oświetlona od kaganka, wiszącego u sklepienia i pod samą bramą na ławie drzemał oparty o ścianę Szwed z bandoletem w ręku.

Bartek zły okrutnie podszedł do owego Szweda i szarpnąwszy go za rękaw huknął mu nad uchem:

— Wstawaj Szwedzie!

Szwed otworzył zdziwione i przerażone trochę oczy, popatrzył na Bartka, w końcu zerwał się na równe nogi, zaszwargotał coś po swojemu i począł uciekać, wrzeszcząc w niebogłosy. Bartek za nim krzycząc:

— Stój pludrze! nie uciekaj! ja jeno chcę spytać, gdzie tu komendant stoi!

I tak obaj krzycząc wybiegli na mały, ciasny, dokoła murami otoczony dziedzińczyk. Na krzyk uciekającego Szweda, z różnych kątów wypadło kilkunastu zbrojnych, z bandoletami, halabardami, szablami, co kto złapał i nie pytając o nic, hajże na Bartka. Ten widzi, że koło niego kuso. Uskoczył więc w bok, dobył szabli i opierając się plecami o mur woła, co mu jeno głosu starczy:

— Czego chcecie odemnie? com wam winien?

Nic to jednak nie pomaga i prawdopodobnie nikt nie słyszał w tumulcie i wrzawie rozpaczliwego głosu Bartka. Zaraz też najechał na niego z szablą jakiś szlachcic w kubraku baranim i z gołą głową, a szabliskiem macha z góry, jakby drwa rąbał. Pasya ostatnia porwała Bartka, podskoczy ku szlachcicowi i tnie go po łbie. Padł, krwią się zalewając, ale już hurmem lecą na niego.

— O! zbóje — wrzeszczy Bartek — kupą na jednego!

Na dziedzińcu było ciemno, bo jeno z okienek padało światło i przed jednemi z drzwi kopciła się latarka, więc Bartek korzystając z tego, skoczył znowu w kąt między dwa mury. Po drodze natknął się na jakiegoś Szweda z halabardą. Nim Szwedzisko się spostrzegł, dostał już po kapeluszu. Padł z jękiem na bruk. Spostrzegł to drugi Szwed i dał ognia do Bartka z bandoletu. Szczęściem chybił. Kula poszła górą i zadźwięczały szybki w jakiemś oknie, z czego Bartek korzystając, przypadł do Szweda i po łbie go raz i drugi. Upuścił Szwed bandolet, schwycił się oburącz za łeb i zataczając się, runął na ziemię. Bartek, otworzywszy sobie w ten sposób drogę, dostał się do owego ciemnego kąta i stanął tam. Tu nikogo nie było. Zatrzymał się więc i patrzy. Szukają go po dziedzińcu, palą z pistoletów, rąbią się sami, nie poznając. Kule świszczą dokoła jak osy i formalna bitwa wre wśród ciemności, ile że ktoś stłukł latarkę. Ze wszystkich stron nowi wypadają i walą w kupę bandoletów. Co chwila ktoś się rznie o ziemię.

— A to bigos! — mruknął Bartek i przysuwając się szczelniej do muru, czuje, że ustępuje pod nim. Spojrzy więc za siebie, a to drzwi. Niewiele myśląc, pchnął te drzwi i zamknął je za sobą na zasuwkę, którą namacał. Otoczyły go ciemności. Odetchnął, oparł się o ścianę i rękawem obtarł pot kroplisty z czoła. Słucha pilnie, co się dzieje na dziedzińcu. Bitwa ciągle tam wre na dobre i strzały hukają. Ale już rozlegają się głosy:

— Nie strzelać! wstrzymajcie się! Na rany Bozkie, dajcie pokój. A obok tych polskich krzyków, słychać i szwedzkie. Szaniawski, którego głos poznał Bartek, wrzeszczy co jeno ma sił:

— Ustąpcie się! kto strzeli, tego obwiesić każę! Co to jest? Precz z szablami!

Ledwie się to uspokoiło. Przyniesiono widać pochodnie, bo przez szparę we drzwiach padł długi pasek jarzącego światła i dopiero radzą, a pytają się, klną, wrzeszczą.

— Co ja tu będę czynił? — mruknął Bartek — znajdą mnie jeszcze i rozsiekają! Bodaj to pioruny biły. Dyabeł wie, gdzie ja jestem! Ot mi poselstwo! Bies mnie chyba skusił, żem tu przyjechał. I Jagusi nie ma, żeby mi poradziła, a ja sam nie wiem co czynić...

Począł macać rękami koło siebie i namacał wąskie, kamienne schodki. Po tych schodkach idąc do góry, utykając co chwila, dostał się w końcu do jakichś drzwi. Popróbował klamki, zamknięte, a z wnętrza zaraz odezwie się przestraszony, niewieści głosik:

— A kto tam?

— Ja, Bartek!...

— Co za Bartek?

Ale w tejże chwili rozległ się słodziutku głos Jagusi:

— To Bartek! Bartek! otwieraj waszmość panna!

Jakoż otworzyły się drzwi i Bartek znalazł się w niewielkiej sklepionej komnatce, jasno oświetlonej, w której znajdowały się cztery, mocno wystraszone dzieweczki, a raczej trzy, gdyż Jagusia była w męzkich szatach i trzymała w ręku gołą szablę. Z pomiędzy pozostałych trzech, jedna stała we drzwiach, prowadzących do dalszej komnaty, blada, drżąca i mocno widocznie wystraszona wrzawą, której odgłosy aż tu dochodziły. Była to mocna brunetka, bardzo piękna, z pańska patrząca. Jej duże, czarne oczy, spoglądały z nieufnością i przerażeniem na wchodzącego Bartka. Ten poznał w niej kasztelankę krakowską, pannę Katarzynę Warszycką. Skłonił się jej tedy po kawalersku i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno kasztelanko, nie z własnej ja woli tu się znalazłem...

— Ale co się stało? co się dzieje?... Czy pan Żwan— tu kasztelanka zarumieniła się jak róża— napadł na Krzepice?

— Ba! żeby to napadł! — ozwie się Bartek — żeby on miał rozum, a napadł teraz, tobyśmy tych zdrajców wzięli jak baranów. Ale gdzie on tam napadnie! on posłów śle i leży oto w lesie i ślepia wybałusza i myśli na pewno nie o niebieskich ale czarnych migdałach.

Kontent ze swego dowcipu, który nową falę krwi przypędził na gładkie liczko panny kasztelanki, Bartek począł się śmiać głośno i obracając się do Jagusi, dodał:

— Wiesz Jaguś, te psubraty o mało mnie nie rozsiekały... Alem im uciekł tu do was.

— Może oni tu za waszmością przyjdą? — zawołała z przestrachem Kasztelanka.

— Ale nie! oni cale nie wiedzą gdzie ja jestem!

— Lecz będą waszmościa szukać po całym zamku.

— Szukać będą! a niech sobie szukają! co mi zrobią. Nie jam winien całej tej siekaninie. A! powiadam waszmość pannom, tak się to hultajstwo siekło, że aż za boki się brać. Ha! ha! ha!

— Mój panie Bartek, opowiedzże nam co to było? — ozwie się Jaguś, zbliżając się do kochanka i wlepiając w niego swe wielkie, błękitne oczy.

— Jak to było? ano dobrze, opowiem, tylko moja Jaguś, nie ma tu co jeść? bom tak głodny, żem osłabł, a w gardle to mam tak sucho, że już ledwie gadam... A tych com zaciął choć po głodnemu, to i tak dobrze. Lizać się będą ze trzy niedziele. No cóż, jest co jeść?

Skoczyły dwie służebne, w mig zastawiły stół, nakryły go bielusieńkim obrusem, położyły przed Bartkiem kawał sarniej pieczeni, chleb, ser i butelkę słodkiej małmazyi.

— A gorzałki nie ma? — spytał Bartek.

— Nie, nie ma.

— Ano to źle, ale cóż robić!

Zabrał się do jedzenia, a Kasztelanka i Jagusia też przy nim usiadły i patrzyły, jak Bartek zmiatał sarnę, chleb, ser, pił wino i krzywił się że słodkie. Dwie służebne, wcale nie szpetne dziewki, stanęły za swą panią i wszystkie patrzyły w Bartka jak w tęczę, a on im opowiadał, jako wszystko było. W komnacie było ciepło. Posadzka i ściany okryte były makatami, zydelki były miękkie, wyściełane, adamaszkiem purpurowym kryte; woskowe świece jasno oświetlały wszystkich, sarna wyborna, małmazya choć słodka, mocna, dzieweczki śliczne, brunetki, blondynki, wszystko to tak jakoś działało na Bartka, że mu się koło serca miękko robiło i tak mu tu było jakoś dobrze, że siedziałby tak przy swej Jagusi i patrząc w czarne oczki Kasztelanki, zerkając na stojące za nią służebne, choćby do sądnego dnia. W zamku się też wrzawa uciszyła i zrzadka tylko dochodziły po jedyńcze głosy, a zegar w sąsiedniej komnacie, która zapewne była spalnią kasztelanki, wybił szesnastą godzinę. Bartek wciąż opowiadał, jak tłukł Szwedów i nie Szwedów na dziedzińcu, że był głodny, łeb sobie szpetnie stłukł na schodach w nizkich drzwiach baszty, a ztąd okrutnie był zły i dlatego tak Szwedów rąbał. Gdy skończył, Kasztelanka zapytała:

— A cóż teraz będzie?

— Czy ja wiem? a na ostatek cóż ma być? żem ta trochę Szwedów naciął, a oni sami potem między sobą się rąbali, to cóżem ja winien? Hultaje są ostatni, bo kupą szli na mnie. Chamy to widno, a nie szlachta. Uf! wińsko paskudne, ale mocne, do łba idzie jak czad i rozbiera człeka. Spać mi się oto chce.

— Otóż to — zawołała Kasztelanka — gdzie waszmość spać będziesz! Tu przecież ostać nie możesz, a jak ztąd wyjdziesz, to cię ten zdrajca Szaniawski w kajdany okuje i może jeszcze co gorszego zrobi...

— Szaniawski — krzyknął Bartek — kiep to ostatni! Drwię sobie z niego. Podlasiak psubrat, torba kaszy, torba mąki!

Kasztelanka się zarumieniła i wstała. Służebne chichotać się poczęły.

— Co tu czynić? — szepnęła Kasztelanka do Jagusi.

— Jaśnie wielmożna panieko — rzeknie składając rączki Jagusia — jego nie można ztąd puszczać. Zasiekają go odrazu, a jeszcze ma trochę w głowie, gotów burdę zrobić i obwieszą go. Na rany Pana Jezusa, nie puszczajmy go ztąd. On tu się położy i wyśpi. Zamkniemy się od niego. To jest taki moment, że o życie idzie. Przecież życie człeka więcej warte jak wszystko. Kto będzie wiedział, że tu się ukrył? Moja panienko...

Przerwały jej jakieś głosy męzkie i stuk po schodkach, jakby kilku ludzi szło. Szli gadając, tłukąc się o kamienie i brzęcząc szablami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MISZKA MUNKACZY
I JEGO OBRAZY.

(Dokończenie.)

W Ewangelii Ś-go Łukasza, znajdują się następujące słowa:

„A znowu mówił Piłat do nich, chcąc wypuścić Jezusa. Ale oni wołali, mówiąc: Ukrzyżuj, ukrzyżuj go! A on potrzecie rzekł do nich: Cóż wżdy złego ten uczynił? Żadnejem przyczyny śmierci w nim nie znalazł: skarzę go tedy i wypuszczę. A oni nalegali głosy wielkiemi żądając, aby był ukrzyżowany i zmacniały się głosy ich. A Piłat przysądził, aby się stało żądaniu ich.”

Otóż tę wielką chwilę z żywota Zbawiciela, Munkaczy przedstawił w ostatnim obrazie znajdującym się obecnie na Wystawie Towarzystwa sztuk pięknych.

W przedsionku izby sądowej, z braku okien cokolwiek przymroczonym, na pierwszym planie oświetlonym promieniem słońca, siedzi na tronie Pontius Pilatus, namiestnik Cezara, na twarzy którego przebija wyraz grozy i pogardy dla motłochu żydowskiego, domagającego się śmierci Nazarejczyka. Na środku stoi Chrystus ze związanemi rękami, w białej szacie, a za nim mieści się tłum żydowski, domagający się wydania Go na śmierć. Żołnierz rzymski zastawiając dzidą wstrzymuje motłoch aby nie wdarł się do środka i nie napełnił całego przedsionka.

Na twarzy Piłata znać troskę o wydanie wyroku. Lud w imię zakonu domaga się śmierci. Namiestnik nie przyznając winy nie wie co zrobić. Obok niego po lewej stronie siedzi dwóch uczonych: jeden zwrócony profilem do widza, ubrany w zielony, aksamitny turban, słucha pilnie przebiegu całej sprawy, jakby chciał dowiedzieć się treści zarzucanego Chrystusowi kacerstwa i poznawszy osądzić jej wartość i znaczenie. Dla sprzeczności obok niego siedzi inny uczony, staruszek już kresu życia swego dobiegający, który słucha ale bezmyślnie bez przejęcia się ważnością sprawy.

Przed tronem Piłata stoi główny oskarżyciel, przedstawiający niejako skargę zbiorową wszystkich, przeciw temu co odważył się prawdę stawiać im przed oczy. Mówca ten o gęstej, siwej brodzie, ubrany w czarny kaftan, z zapałem wskazując na Chrystusa, dowodzi słuszności swego oskarżenia. Namiętność przejmuje go całego, fanatyzm tryska z twarzy a nienawiść nim porusza z zaciekłością, niczem niehamowaną. Za nim siedzą rabini i inni uczeni, zajęci rozmową a przed nimi opasły ich towarzysz w żółtym zawoju, w ciemno szkarłatnym, bogatym kaftanie, w którym troska o własny interes i wygodę, o byt materyalny przeważa wszystkie względy. Słucha z pewnem zajęciem, ale dlatego tylko, że go to bawi, jak w teatrze na przedstawieniu dramatu.

W gromadzie motłochu lewą stronę obrazu zajmującego, rozmaitość wielka i pełna życia. Najprzód zwraca uwagę widza jakiś szubrawiec w koszuli białej z rękami wyciągniętemi w górę, który z ustami otwartemi zdaje się wywoływać słowa potępienia Chrystusa, ze staraniem zagłuszenia wszystkich. Przy opasłym samolubie przez poręcz ławki, jakiś młody z bezmyślną lecz wielce niemądrą ciekawością, przechyla się, aby lepiej przypatrzyć się Chrystusowi, o którym widać wiele słyszał opowiadań, ale Go jeszcze nie widział. Po nad tą grupą pod filarem, stoi matka z małem dziecięciem na ręku, z pewnym żalem patrząca na Chrystusa. Jest-to jedyna postać dodatnia, przeczuwająca wielkość tego, którego mają sądzić i za minutę może wydać wyrok potępienia.

W techniczną ocenę tej pięknej pracy Munkaczego, wdawać się nie będziemy, rzecz to malarzy i głównie malarzy obchodząca. Nam idzie o wrażenie jakie całość wywołuje i to jest wielkie, bardzo wielkie. Zdaje się że słychać wrzaski motłochu: ukrzyżuj go! ukrzyżuj! że głos oskarżyciela rozbrzmiewa całą potęgą piersi, że wrzawa nad gromadą szumi niesfornemi głosami, a choć ta liczną jest, prawie napchaną, głowa przy głowie, jednak nienatłoczona tak, żeby stanowiła jakby mozajkę, w której trudno dojść, do której głowy należy ręka, a do której korpus cały lub noga. Tego najzupełniej uniknął Munkaczy, w obrazie jego i ludzi mnóstwo i przestrzeni nie brak, oko nie nuży się a uwaga zajmuje.

O samej postaci Chrystusa zdania są podzielone i wielu nie przyznaje jej tych przymiotów, jakiemi zalecać się winna.

Twierdzą, że jest zbyt realnie pomyślana, że nawet aureoli choćby po ludzku pojętego męczeństwa dopatrzyć się w niej trudno, że nawet poezyi niezasłużonego cierpienia odkryć niepodobna.

Recenzent Słowa powiada, że wyraz twarzy Chrystusa więcej jest przebiegły i mądry aniżeli natchniony.

W zarzutach tych wiele jest prawdy. Zwróćmy tylko uwagę, że Chrystus według Pisma ś go zanim stanął przed Piłatem, już zeszło godzin kilkanaście po pojmaniu i że przez ten czas włóczony był po ciemnych lochach, szarpany i znieważany czynnie. W postaci więc Chrystusa zapatrując się na nią jak najbardziej ze stanowiska czysto materyalnego, to męczeństwo ducha jego, poddanie się losowi bez rozpaczy lub gniewu, ten spokój chrześciański błagający o przebaczenie siepaczom niewiedzącym co czynią, wiara wreszcie z jaką naukę swą głosił, i pokora w nieszczęściu, winny się malować w całej twarzy Chrystusa i przykuwać uwagę widza do siebie.

Niestety! tego wszystkiego nie dopatrzy się w obrazie Munkaczego, a jednak tylko tak przedstawiony byłby prawdziwym, takim jakim był w rzeczywistości nawet w ludzkiem pojęciu jego natury.

ROZMAITOŚCI.

Kościół Św. Stanisława w New-Yorku, zawdzięcza istnienie swoje gorliwości d-ra medycyny Winc. Żółnowskiego. Rozporządzając składkowym funduszem, wynoszącym kilka tysięcy dolarów, d-r Żółnowski zakupił opuszczony budynek po jakiejś upadłej sekcie, sprowadził księdza i urządził skromny kościołek w r. 1873. Dzieje parafii św. Stanisława od roku 1873 do 1881, są obrazem nieładu i nieumiejętnej administracyi, a w następstwie braku funduszu, nawału długów i zniechęcenia parafian. W roku 1882 parafię objął energiczny i zacny ks. Hieronim Klimecki. Dzięki jego zabiegliwości i ofiarności parafian, kościół znacznie się już oczyścił z długów, których było 20,000 dolarów. W roku 1883 przy kościele powstała szkółka polska, do której założenia przyczyniła się p. H. Modrzejewska, ofiarowując najprzód 225 dollarów, a w roku 1884 cały dochód z jednego przedstawienia, wynoszący 1,225 dol. Do szkółki uczęszcza 60-ro dzieci polskich, przeważnie dziewcząt, do lat 10-ciu. W planie wykładów figuruje: nauka religii, język polski, arytmetyka, historya polska, angielska, geografia i kaligrafia. Dzieci w ogóle źle mówią po polsku, chociaż te, które są dawniej w szkole, gdzie niewolno inaczej mówić tylko po polsku, mówią poprawniej; lokal ubogi i niedogodny, a względnie mała liczba dzieci uczęszczających da się prawdopodobnie wytłomaczyć odległością od dzielnic, gdzie przeważnie mieszkają Polacy. Zasługuje też na wzmiankę wzorowo zorganizowane towarzystwo kościelne św. Stanisława, będące pod bezpośredniem zwierzchnictwem ks. Klimeckiego. Celem tego towarzystwa jest dobroczynne niesienie pomocy nędzy materyalnej, której nie brak wśród tutejszej kolonii polskiej. Polacy, osiedli w Newarku (New-Yersey) powzięli zamiar odegrania w New-Yorku teatru amatorskiego na rzecz szkółki polskiej; projekt przychylnie przyjęto i wkrótce niejedna z ofiar podróżomanii będzie się mogła przyglądać komedyi Korzeniowskiego: *Podróżomania.* Błędne były doniesienia o rozterkach stronniczych między Litwinami w New-Yorku. Miało to wynikać z nieporozumień.

Znam wybornie tutejszą kolonię i mogę zapewnić, że wszystko to jest nieprawdą. Z wyjątkiem kilku osób, solidaryzujących się z warchołem tutejszym, niepochlebnie skompromitowanym w sprawach zaufania publicznego, Janem Szlupasem, reszta wszyscy żyją w zgodzie, wspólnie, bez wszelkich nieporozumień i pochopów separatystycznych. Losy nabożeństwa litewskiego w kościele św. Stanisława i nieodłączna od tego sprawa sprowadzenia księdza, rozbiły się o drobną okoliczność, że pieniądze na ten cel przez Litwinów zebrane, stopniały jakoś w rękach pana Szlupasa. Do Buffalo przed kilku miesiącami przybył pan Stanisław Slisz i rozpoczął od połowy Lipca wydawnictwo gazety. Wydawnictwo rozpoczęto z kapitałem 12 tysięcy dollarów, na akcyach, przyczem z wyjątkiem kilku Polaków akcyonaryuszami są Amerykanie, co może i lepiej, gdyż redakcya ma zapewnioną w ten sposób niezależność przekonań i działań.

Dotąd gazeta ta dobrze się wywiązuje ze swego zadania, a chociaż wyszło jej zaledwie 25 numerów dotychczas, prenumeratorów ma pokaźną cyfrę około dziewięciu tysięcy i redakcya zamierza pismo zamienić na codzienne.

Pan Slisz jest rodem z Galicyi, syn chłopa; po ukończeniu gimnazyum dwa lata oddawał się studyom teologicznym w seminaryum duchownem, następnie służył rok w wojsku jako jednoroczny ochotnik, wreszcie ukończył uniwersytet.

Liczy 29 lat wieku.

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

*** **Wiosna** nietylko u nas spóźniła się w roku bieżącym. W słonecznej Italii, gdzie zazwyczaj o tej porze przyroda w najpiękniejszym znajduje się rozkwicie, szalały bezprzestannie burze i niebywałe na południu śnieżyce. Genua, Medyolan, Turyn, Cremona, Bergamo i Wenecya najwięcej ucierpiały od śnieżnej zawiei. Iluminacye i zabawy na otwartem powietrzu, projektowane we wszystkich prawie miastach na rocznicę urodzin króla, z powodu śnieżycy nie mogły przyjść do skutku.

My po tych zimowych śnieżycach, grożących w wielu miejscach losem Herkulanum i Pompei, zaledwie teraz odetchnęliśmy. Daj tylko Boże, aby obawy powodzi nadzwyczajnej i niezwykłej były płonnemi.

— Na ostatniem miesięcznem posiedzeniu Towarzystwa ogrodniczego, p. Edward Jankowski, odczytał odezwę do właściwej władzy w przedmiocie urządzania konferencyi sadowniczych dla włościan, celem praktycznego zaznajamiania ich z hodowlą drzew owocowych. Projekt to wielce pożyteczny, godzien poparcia każdego dbałego o dobro własne i całej społeczności.

Oby tylko w wykonaniu jego nie zaszły przeszkody niczem się usunąć nie dające.

Przy tej sposobności czujemy się w obowiązku przytoczyć fakt podany przez Gazetę Kielecką, dowodzący wielkiej ludu naszego poczciwości, którego sądzić z pojedyńczych złych i zbrodniczych jednostek byłoby niesprawiedliwością.

„We wsi Księżnicach, powiada Gazeta Kielecka, gminie Pacanów, mieszkały w długim, drewnianym domu dwie rodziny. Jednę składali: zamożny włościanin, Baran, jego żona i sierota wzięta na wychowanie, a drugą: ośmdziesięcioletnia wdowa, Gadawska, jej niedołężna, zamężna córka, zięć i dwie dziewczynki. Pod tym samym dachem były i stajenki i składy na zboże i komory, ot, mieścił się tu cały dobytek, całe mienie wieśniacze.

W połowie Lutego, z niewiadomej przyczyny, dom ten stał się pastwą pożaru. Sprzęty i bydło wyratowano. Ale strzecha nad głową i zapasy żywności spłonęły. Rodzina Gadawskiej znalazła się w nędzy.

Sąsiedzi przytulili u siebie pogorzelców. Gadawskiej zniosły sąsiadki to po bochenku chleba, to po garncu krup, mąki... co która miała pod ręką.

Baran kupił drzewa, wdowie dopomogli dobrzy ludzie i z opalonych krokwi nieco dało się jeszcze użyć. Zeszli się sąsiedzi z siekierami, nie zważali na siarczysty mróz, żwawo zawinęli się i przebudowali ściany, postawili krokwie, poszyli dach. Z całej wsi znoszono kitki kręcone na poszycie dachu; a kto nie miał kręconej słomy, przynosił całemi snopami niemłócone żyto, z którego był odrazu chleb i poszywka. Potem po ośmiu, po dwunastu siedziało na dachu, i choć wicher mroźny ciął twarze, choć ręce kostniały od zimna, poszyli dach nad całym długim domem. Dwie rodziny znalazły się znowu pośród własnych ścian, błogosławiąc uczynnych sąsiadów.

W tejże gminie, we wsi Karsach Małych, w same żniwa poszło z dymem kilkanaście chat. Jeden z włościan zakupił w innej wsi, o półtorej mili ztamtąd, cały dom i pojechał aby go rozebrać, przewieźć do Kars Małych i postawić. Tamecznych kilku włościan, wcale go nie znających, dopomogło mu do rozbiórki, dali własne wozy, koniki i sami albo przez swoich parobków przewieźli darmo po trzy, po cztery fury, tylko za ostatnią furę wzięli po rublu. A było to w czasie najpilniejszej roboty żniwnej."

*** **Szparagarnia na eksport.** Pod Warszawę jeden z przedsiębiorczych ogrodników naszych, zakłada z wiosną wielką szparagarnię, mającą obejmować ogród kilkomorgowy.

Szparagarnia ta wyrobami swemi zaopatrywać ma nietylko Warszawę, ale i dalsze okolice kraju, a zarazem zajmować się wywozem szparagów do Cesarstwa.

*** **P. Kazimierz Mirecki,** znany i ceniony artysta malarz, rozesłał już po księgarniach pierwszy zeszyt swej albumowej publikacyi, obejmującej kredkowe portrety pięknych Warszawianek.

W szeregu główek, formujących pierwszy zeszyt, spotykamy dwie noszące nazwiska niemieckie, a są to panie B .. D..., których rodziny są przecież od wieków między nami osiadłe, a one najczystszemi Warszawiankami i z domu i z męża.

Odbiciem albumu, bardzo starannem, zajął się pan Hubert, a samo przedsięwzięcie przyczyni się zapewnie do podniesienia uznania p. Mireckiego, jako artysty z gustem, ale mu materyalnych zysków nie przysporzy. Album bowiem odbity jest zaledwie w ilości 250 egzemplarzy, a cena względnie do kosztów wcale umiarkowana. Puszczony w świat zeszyt ma piękną kartę tytułową i stanowi oddzielną całość, będzie miał jednak ciąg dalszy, do którego portrety już są gotowe.

*** **Ofiara p. Sembrich-Kochańskiej.** Znakomita śpiewaczka już opuściła Warszawę. Dochód z sobotniego widowiska p. Sembrich-Kochańska tak rozdzieliła: 250 rs. przeznaczyła dla kasy pożyczkowej artystów sceny warszawskiej; 250 rs. dla Towarzystwa wsparcia artystów muzycznych; 200 rs. dla Towarzystwa opieki nad Biednemi matkami i ich dziećmi; 300 rs. nakoniec na wpisy dla niezamożnych uczniów gimnazyalnych.

Ofiara to godna uznania, Warszawiaków ujęła za serce, do którego za zbyt wysokie ceny oznaczone na występy śpiewaczki, wkradło się pewne niezadowolenie. Z tego też to powodu Kuryer Świąteczny powiedział.

Pani Sembrich Kochańska na koncercie prześlicznie odśpiewała: *Między nami nic nie było...* (*) I rzeczywiście, oprócz za bardzo wygórowanej ceny, między nami nic nie było.

Słuszna to uwaga; a jednak... ceny biletów choć potrójnie prawie podniesione nie zraziły ciekawych. Teatr zawsze był przepełniony, i może niejeden z widzów wyciągnął ostatni grosz z kieszeni, może się zadłużył... a może nawet wydrwił z łatwowiernego, ale był i oglądał się zapewne z krzeseł na wszystkie strony, aby go widziano tam, gdzie ciekawość rublami się zaspakaja. A wypadek taki musiał zajść zapewne, sądząc z Muchy w której czytamy:

Co to może zamiłowanie sztuki...

Zapewniają nas, że Fredzio X. aby mieć możność słyszeć wysokie *C* pani Kochańskiej, przed każdym jej występem popełniał wielkie *fe...*

*** **Adeline Patti** wygwizdano w Walencyi, co jej się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Manifestacyę tę przygotowali miejscowi śpiewacy hiszpańscy, za to, że nie chciała z nimi odbyć próby „Trawiaty". Publiczność przybyła źle usposobiona do teatru, przyjmowano jej śpiew z oznakami niechęci, aż po jednej z końcowych aryi powstał taki hałas, gwizdania i pogróżki, że Patti formalnie uciekła ze sceny i oddała się pod opiekę policyi.

Widać, że pycha razem z chciwością towarzyszą artystce w podróży jej po Europie. Paryż nią pogardził, Warszawa odepchnęła, Bruksella prawie za drzwi wyrzuciła a teraz Walencya wygwizdała. Milionerce przysmaczek taki musiał dobrze krwi napsuć, żałości jednak pewno w nikim nie obudził.

*** **Donoszą z Rzymu.** Dnia 3 Marca, w rocznicę koronacyi swojej, Ojciec Święty, obecny był uroczystemu nabożeństwu odprawianemu w kaplicy Syksteńskiej, przez kardynała Ludwika Jacobiniego, sekretarza stanu. Na nabożeństwo to Papież przybył w tyarze, na przenośnym tronie *sedia gestatoria*, między ogonkami ze strusich piór, *flabelli*. Kardynałowie i biskupi poprzedzali go w procesyi, a dwór duchowny i świecki postępował wkoło niego. Papież nigdy już tak uroczyście nie występuje, ani nawet na Wielkanoc, wyjąwszy tę jedyną rocznicę swojej koronacyi. Książę wielki mistrz maltański, ciało dyplomatyczne uwierzytelnione przy Watykanie, arystokracya rzymska wierna Watykanowi i tłum cudzoziemców obecni byli nabożeństwu.

W przeddzień zaś dnia tego, Ojciec Święty przyjmował życzenia św. kollegium i na adres kardynała Sacconiego, dziekana, odpowiedział mową, w której rozwodził się nad potrzebą gruntownej nauki dla duchowieństwa, dowodził, że Kościół nie jest i być nie może nieprzyjacielem oświaty i postępu i wziął pochop z okoliczności owego potwornego listu w *Tribunie* ogłoszonego, co chciał osobistości z Watykanu wmieszać do procesu Des Doridesa, aby poskarżyć się znowu na nieznośny stan Najwyższego Pasterza, dopóki pozbawiony zostaje ziemskiego panowania i doczesnej władzy. Dodać tu winienem, że w otoczeniu papiezkiem niektórzy liczą na księcia Bismarcka dla przywrócenia tej władzy i uważają ustępstwa czynione kanclerzowi niemieckiemu jako najskuteczniejszy sposób uzyskania jego pomocy.

*** **Do naśladowania.** Miałem kazanie w dzień zaduszny u księdza X. Y. — pisze pewny kapłan do *Katolika*, pisma wychodzącego na Szląsku Pruskim. W kieszeniach płaszcza i stole widziałem u niego pełno kalendarzy i książeczek ludowych. Zdumiony tą mnogością zapytałem: „Na Boga, co też ksiądz proboszcz robi z tem mnóstwem książek?" „Prosta rzecz, odpowiedział mi, sprzykrzyło mi się dawać ciągle na piwo pieniądze, które na wódkę obracają. Więc sobie postanowiłem w miejsce łapówki dawać książki; tego nie przepije żaden, na tem zyskują wydawcy, rodzina obdarzonego, no i ja sam. Biorąc ryczałtowo mam zniżkę na całym stosie, sięgam przeto ochoczo, daje chłopcom, dzwoniarzom, sługom, woźnicom, a nawet „parce ślubnej"; z tego uciechy cztery miechy, a plon Boży się mnoży. Idź i czyń podobnie."

*** **Pod Zbarażem** (w Galicyi) w Hnilicach, odbyła się podniosła uroczystość. Egideusz Wernberger, dzierżawca Hnilic i Hniliszek, obywatel powszechnie szanowany, szczery przyjaciel i opiekun ludu wiejskiego, otrzymał order papiezki św. Grzegorza.

Ojciec św. raczył go zaszczycić tą chlubną oznaką w uznaniu jego ważnych zasług około Kościoła i dobra ludu wiejskiego. Pan Wernberger bowiem nietylko wybudował swoim kosztem kościół w dawnym majątku swym Sieniawie koło Zbaraża, ale wywierał na ludność miejscową w Łubiankach i Sieniawie wpływ bardzo zbawienny.

Otóż w niedzielę dnia 7 b. m. zebrało się w Hnilicach wielu obywateli, księży, urzędników i włościan i o godzinie 11-ej z rana procesya przy odgłosie

(*) Jest to tytuł piosneczki, nad program przez koncertantkę wyśpiewanej.

dzwonów i salw moździerzowych, odprowadziła uroczyście pana W. do cerkwi, gdzie proboszcz miejscowy ks. Harasymowicz, przyjął go przy drzwiach wodą święconą. Po odśpiewaniu „Veni creator", O. Jaworski, gwardyan OO. Bernardynów i proboszcz zbarażski, w gorącej przemowie podniósł znaczenie wysokiej odznaki, poczem przeczytał „breve" papiezkie, a następnie ozdobił piersi pana Wernbergera orderem.

Rozpoczęła się suma, po niej „Te Deum", i śpiew na cześć Ojca św., kardynała Ledóchowskiego, arcybiskupa Morawskiego i rodziny Wernbergerów.

Po tej religijnej ceremonii nastąpiło przyjęcie we dworze, gdzie zasiadło do stołu około 50 osób, między któremi byli i przedstawiciele ludu wiejskiego.

Przy końcu uczty wbiegł do sali organista, zabrzmiała muzyka wiejska i zaimprowizowane wesele krakowskie ukazało się niespodziewanie w całej świetności stroju wiejskiego i powiększyło wspólną uciechę.

*** **Ucieczka.** Redaktorowie gazety *Indépendace Romnaine* wymierzywszy kilka śmiałych artykułów przeciwko polityce Bratiana, narazili się na gniew ministra. Gdy wyszedł rozkaz, aby ich aresztować pp. Jerzy Secnshann, G. Ocasian i D-r Banaiesko postanowili uciekać z kraju.

Zamiar wykonany został znakomicie; na pokładzie okrętu, przebrani: pierwszy za palacza, drugi za kuchcika, a trzeci jako komisarz marynarki, bezpiecznie opuścili Rumunię. W ślad za zbiegami, weszli na pokład parowca ludzie Bratiana, aby dopełnić ścisłej rewizyi personelu służby i pasażerów.

Usmolony palacz, umączony kuchcik i jak paw' nadęty komisarz, bez zarzutu odegrali swoje role: agenci ministra nie znalazłszy nikogo podejrzanego, opuścili pokład, a redaktorzy zrzuciwszy komiczne przebranie szczęśliwie dojechali do wybrzeży Francyi.

Z PRASY HUMORYSTYCZNEJ.

— Artysta malarz pan Smarowolski utrzymuje, że wielkie powodzenie jakiem się u nas cieszy obraz Munkaczego *Chrystus przed Piłatem*, jest niczem więcej jak tylko *czarną intrygą*, bo gdyby jego, to jest pana Smarowolskiego obrazy, były tak samo oświetlone to z pewnością wywołałyby taki sam efekt.

* * *

— Ktoś utrzymuje, że cały świat należałby do jednego tylko do jednego szczepu, gdyby Niemcy *mogli* a Słowianie *chcieli*.

Kuryer Świąteczny.

* * *

NOWINA!

Oto jedna znów prawdziwa,
Berlińska nowina,
Trzodę chlewną zakupują,
Niemcy do Berlina!

Lecz niech tylko to radosne,
W nas uczucie budzi,
Gdyż nam Niemcy świnie biorą,
Dla nas szlą zaś... ludzi.

Kolce.

* * *

Dobry sposób.

— Potrzebuję na gwałt pojechać do Paryża i nie mam za co, poradź mi co mam zrobić?

— Wścieknij się a zawiozą cię darmo do Pasteura.

— A wiesz, że to wcale dobra myśl.

Mucha.

* * *

Nic w naturze nie ginie. Niemcy nas chcą zjeść, a my za to zjadamy niemieckie homary.

Kuryer Świąteczny.

* * *

Niedorzeczność wychodząca z ust ukochanej kobiety, musi być tak wielką jak kamienica, aby ją zakochany dostrzegł.

* * *

Towarzystwo głupców to gromada dudków dziwiąca się, że kruki są czarne.

NOWE WYDAWNICTWA.

Oceania, historya świata zaginionego, przez M. Jokaja, z węgierskiego przełożył A. Lange. Wydane w Łodzi.

Konkurenci kasztelanki, opowiadanie z przeszłości, przez Piotra Jaxę Bykowskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Tahirbej, powieść ze wspomnień życia obozowego, Kazimierza Burzyńskiego, tomów 2. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Nadzieja, wiązanka wierszy dla dzieci i młodzieży, przez A. M. z przedmową księdza Antoniego Moszyńskiego.

Encyklopedyi Wychowawczej wyszedł zeszyt 1 tomu 4 i rozpoczyna się od litery F. Falk, Falkowski Jan Daniel a kończy rozpoczęciem objaśnienia wyrazu filologia przez J. K. P. Encyklopedya wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych, z których każdy na miejscu kosztuje kop. 40 a z przesyłką pocztową kop. 50. Tomy 1, 2 i 3 obejmujące przeszło 120 arkuszy, kosztują rs. 15 a na przesyłkę dopłaca się kop. 60.

Nakładem Redakcyi Kraju w Petersburgu, wyszło p. t. **Szkice i Obrazki Ostoi**, które zawierają w sobie: Przed obrazem. — Wyrobnik. — Organista. — Trzy spntkania. — Emancypowana.—Niewierna. — Ulicznik. — W starym domu. — Kuzynka. — Po koncercie. — Pierwsza lekcya. — Z teki porządnego człowieka. — Szara dola. — W głuszy. — Szeregowiec. — Stary żart. — Bez powrotu.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Марта 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 14.

N. 1—2. Ubranie wieczorowe i balowe.

N. 1. Suknia z trenem. Krój draperyi i spódnica podana oddzielnie na dodatku z formami N. VIII, f. 27-28.

Do spódnicy i stanika z aksamitu ciemno *grenade*, dodana draperya z materyi *chiné* maisowego koloru. Gładko spuszczone bryty trenu oszyte są tylko u dołu wązką, w kontrafałdy ułożoną falbanką, a prednie i boczne bryty plisowane są w fałdy, 18 cent. szerokie. Na małym modelu kroju draperyi fig. 27, *a* przedstawia część przednią, której lewy brzeg boczny sfałdowany wszywa się w pasek razem z górnym brzegiem zmarszczonym; brzeg boczny prawy trzeba podług krzyżyków i punktów sfałdować i wpuścić pomiędzy boczny szew spódnicy; dolny, dłuższy brzeg przecięcia przyfałdować i na spódnicy przyszyć; cześć boczną dolną luźno w róg spuścić, a górny brzeg przecięcia złożyć w pukiel spadający na nią. Tylna draperya składa się z dwóch brytów, z których krótszy *b* podpiąć podług ryc. 1, a bryt większy *c* złożyć w pukiel krzyżykiem do punktu i ułożyć w sposób wskazany na fig. 28. Pomiędzy częściami tylnej draperyi widać tren aksamitny. Pomiędzy z boku zapięte przody stanika bawetowego dodany jest szmizetkowy garnirunek z krepy maisowego koloru; brzegi przodów i krótkie rękawki oszyte są koronką złotą, ktorej próbkę przedstawia ryc. 17 w N. 15.

N. 2 i ryc. 22 w N. 15. Suknia balowa bez trenu. Model kroju draperyi na dodatku z krojami N. IX, fig. 29.

Ryc. 2 i 22 w N. 15 przedstawiają z przodu i z tyłu śliczne balowe ubranie, raz odrobione z tiulu wyszytego perełkami lub haftowanego w rzucik, którego próbki przedstawia ryc. 52 i 53 w N. 15, drugi raz z muślinu w kropeczki, ubrane girlandami z kwiatow i puklami z kolorowych wstążek. Kolie na szyję i wianeczek do głowy także z kwiatów. Spódnicę zdobią dwa koronkowe, 14 cent. szerokie wolanty, nad któremi z tyłu i z boków dodana 30 cent. szeroka falbana z tego co suknia materyału oszyta koronką. Na fig. 29 dajemy mały model i miary zgrabnej draperyi, ze wskazaniem oszycia koronką. Górny brzeg przedniego bryta *a* marszczy się i wszywa w pasek; jeden z bocznych brzegów podpina się w pukiel krzyżykiem do punktu 2-gi gwiazdką do gwiazdki, a cały bryt skośnie od liczby 78 do 50 podpina się w fałdy. Z przeciwnej strony dopełnia draperyę część *b*, w górze przymarszczona, w zaokrąglonym brzegu przyfałdowana podług znaków. Tylną draperyę, której połowę oznacza *c*, fałduje się z boków do 80 cent. długości i dopełnia dwoma kawałkami przykrojonemi podług *d*, z boków przyczepionemi krzyżykiem do krzyżyka i dwukropkiem do dwukropka, wywiniętemi do tyłu w sposób wskazany na ryc. 22 w N. 15, a w górze sfałdowanemi i wszytemi w pasek. Stanik którego wykrój na ryc. 22 oszyty koronkową falbaną, zapina się z tyłu na kryte haftki.

N. 3—5, 7-10 i 21-22. Chusteczki ozdobne do nosa.

Ryc. 7-10 przedstawiają białe batystowe chusteczki, trzymające 30 cent. w kwadrat. Na ryc. 7 widzimy chusteczkę oszytą wkoło wązką walensienką i ozdobioną szlaczkiem haftowanym, do którego deseń dajemy na ryc. 7. Na modelu gałązki robione były dwoma cieniami bawełny niebieskiej, a kwiatki białe z punkcikami żółtemi w środku. Do ryc. 8 dodany jest szlaczek $1^1/_2$ cent. szeroki, przyrobiony do chusteczki ściegiem sznureczkowym, a z brzegów wydziergany w ząbki spiczaste bawełną białą. Na ryc. 4 dajemy próbkę szlaku do ryc. 9, który dziergany był bawełną niebieską, a punkciki robione były bawełną szafirową. Szlaczek do ryc. 10, haftowany ściegiem płaskim, bawełną białą i żółtą, przedstawia ryc. 22, inny szlaczek do chusteczek ryc. 21, a narożnik ryc. 5.

N. 11 i 12. Szmizetka i mankiet.

Mankiety w rogach zaokrąglone i szmizetka 30 cent. długa, ozdobiona trzema kontrafałdami 3 c. szerokiemi, odrobione były z perkalu białego w kropki niebieskie; na środkowej zakładzie oszyte fałszywe dziurki niby do zapinania. Kołnierzyk prosty, 4 cent. szeroki, z tyłu zapinany, z przodu wszyty jest na 14 cent. długości, do wykroju szmizetki. Krawat z tego co szmizetka materyału albo z kolorowego atłasu.

N. 13—14. Ręcznik ozdobiony haftem sznureczkowym, wstawkami i koronką z siatki gipiurowej.

Na ryc. 13 dajemy w połowie naturalnej wielkości próbkę wstawki siatkowej do ręcznika płóciennego, 56 cent. szerokiego. Ten sam deseń służy do koronki, zakończonej u dołu w zęby spiczaste dziergane. Girlandka przedzielająca wstawkę od koronki, haftowana jest na 14 c. szerokim pasku płótna, bawełną ponsową ściegiem sznureczkowym.

N. 15. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7. Forma na dodatku z krojami N. XVI, fig. 65—72.

Na fig. 65 dajemy w naturalnej wielkości formę majtek z boku zapinanych, które przypina się na guziczki do stanika zapinanego z tyłu, przykrojonego podwójnie podług fig. 66. Zwierzchni szew zeszywa się tylko do 7, a dalej zapina na guziczki; brzeg dolny otacza pasek $2^1/_2$ cent. szeroki, na sprzączkę zapięty. Krzyżykiem, punktem i cienką linijką oznaczone jest na fig. 68 miejsce przyszycia części kamizelkowych fig. 68 do przodów paletocika. Ranwersy przyszywa się szwem odwracanym do brzegów przodów, wywija się na wierzch i przypina guziczkami. Pomiędzy szwy boczne wpuszczony jest pasek 6 cent. szeroki, który w miejscu oznaczonem cienką linijką przyszywa się do przodów, a zarazem dolnym brzegiem przykrywa przyszycie 5 cent. szerokiej patki przy otworze kieszonki. Model, odrobiony z sukienka ciemno bronzowego, zdobił takiż sutasz i stębnówki, oraz klamry bronzowe.

N. 16. Paletocik dla dziewczynki lat 4—6. Krój jak do ryc. 20 w N. 2 Tygodnika Mód.

Model paletocika odrobiony był z ciemnego cheviotu przerabianego kolorowemi nitkami. Długi stanik paletocikowy przykroić można podług wyżej wskazanej formy, zaprowadziwszy łatwą zmianę w krajaniu przodów, które na r. 16 są bez plastronu, zapięte na dwa rzędy guzików i ozdobione pięcioma, 1 c. szerokiemi fałdami, na które dodaje się potrzebną ilość przy krajaniu zwierzchniego materyału. Szeroki podłużny wykrój przy marynarskim kołnierzu z ranwersami, zapełnia z boku zapinana, 14 cent. długa część szmizetkowa. Spódniczka 25 c. długa a 250 szeroka, z boków i z tyłu złożona jest w fałdy plisowane, a z przodu w kontrafałdę 23 cent. szeroką; przyszycie spódniczki przykrywa z przodu na kokardę związana szarfa ze wstążki atłasowej, $4^1/_2$ cent. szerokiej, pod którą przy brzegach przodów dane 10 cent. długie otwory do kieszonek. Guziki płaskie rogowe z obwódką metalową, przy kołnierzu sznury kolorowe z kwastami.

N. 17. Stanik gorsetowy. Forma na dodatku z krojami N. II, fig. 8—12.

Niezwykłość modelu stanowi połączenie gorseta ze stanikiem pod suknię, oraz sposób zapinania, który dowolnie ścieśniać lub rozszerzać można. Model odrobiony z białej angielskiej dymy zdobiły szlaczki haftowane, w które przewleczona jest wstążeczka kolorowa, $^1/_2$ cent. szeroka. Przody, boczki i plecy fig. 8—10 łączy się szwami podług odpowiednich znaków, dalej przednie ramiączko przyszywa się do przodów od T do U, a od W do X zszywa z tylną częścią ramiączka, którą przyszywa do pleców fig. 12. Cienkie linie proste oznaczają miejsce przyszycia od lewej strony tasiemek do wsunięcia fiszbinów. Patki do zapinania opatrzone okutemi dziurkami, dane są z mocnej taśmy używanej zwykle na paski do sukien i liczą po 9 cent. długości.

N. 18—20 Koronka szydełkowa z kolorowem wyszyciem do oszycia rolet, przykrycia na meble albo do koszy.

Na ryc. 18 dajemy w połowie naturalnej wielkości próbkę ładnej koronki, robionej z grubej żółtawej kordonkowej bawełny albo z wigoń Estramadura N. 2. Do wyszycia służy włóczka hamburgska w kolorze oliwkowym i w dwóch cieniach miedzianych. Koronkę robi się poprzecznie tam i napowrót; na ryc. 19 dajemy próbkę środkowego z pięciu zębów, podług której robi się wszystkie, w jednym ciągu z koronką. Pikoty w górze i u zębów dodaje się na końcu.

N. 23—24. Chusteczka krepowa.

Kawałek białej krepy, 86 c. szeroki a 53 długi, składa się w ścisłe fałdy, przeszyte w odstępie 11 cent. od górnego i dolnego brzegu i rospuszczone wachlarzowo. Różowa krepowa, 6 c. szeroka wstążka, przez pół złożona, przechodzi wzdłuż chusteczki, a na kokardy w górze i u dołu użyta jest w całej szerokości.

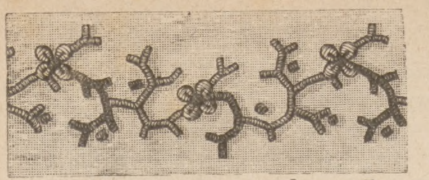
N. 25 i 41. Kapotka koronkowa.

Rondko kapotki pokryte czerwonym aksamitem i oszyte torsadką z czarnych perełek, przecięte w środku, wznosi się w górę nakształt skrzydeł. Pukiel ze sztywnego tiulu, 24 cent. długi a 7 szeroki, zapełnia szczerbę i służy za podporę wysokim bufom z czarnego tiulu i płasko ułożonej girlandce z pluszowych maków. Koronka tiulowa 16 cent. szeroka spada na

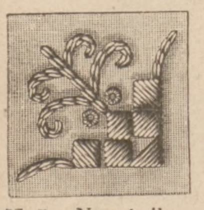


Ubrania balowe.

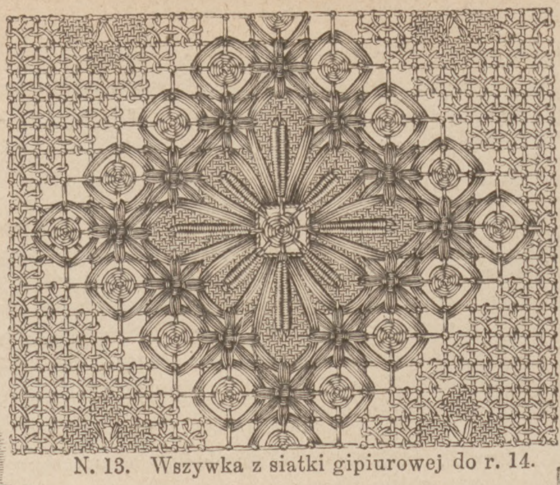
N. 1. Suknia z trenem. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 27—28. N. 2. Ubranie balowe bez trenu. Krój na arkuszu N. IX, fig. 29.



N. 3. Szlaczek haftowany do ryc. 7.



N. 5. Narożnik do ryc. 7—10.



N. 13. Wszywka z siatki gipiurowej do r. 14.



N. 4. Brzeżek haftowany do ryc. 9.



N. 6 Wyszycie do ryc. 50 w N. 15.

rondko i ułożona jest na środku w 6 stojących sutych kontrafałd.

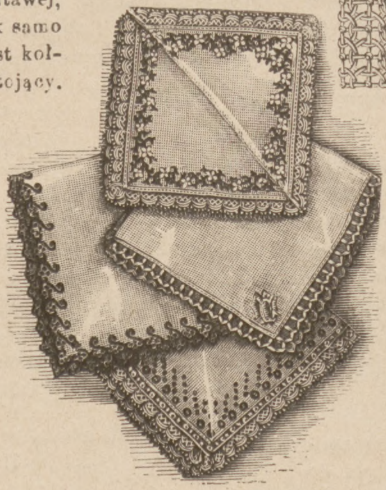
N. 31—32. Kołnierz chusteczkowy.

Ryc. 32 przedstawia z tyłu kołnierz chusteczkowy z boku zapinany, zrobiony ze wstawki koronkowej, koronki i z paska 4 1/2 cent. szerokiego, splisowanego z gazy jedwabnej żółtawej, z której tak samo ułożony jest kołnierzyk stojący. W miejsce bardzo kosztownych starych koronek można użyć koronki haftowanej na tiulu, pięknej szydełkowej, albo fabrycznej w grubszy deseń.

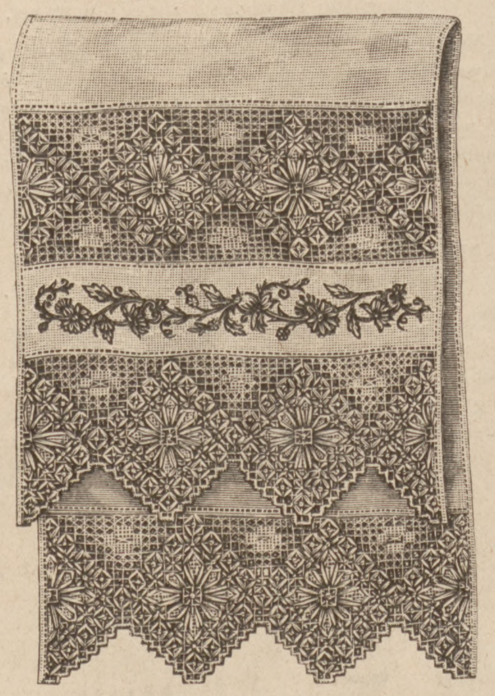
N. 33—35. Krawatki szalikowe do płaszczyków i kokarda do włosów albo do ubrania sukni.

Ryc. 38 przedstawia szalik 140 cent. długi a 27 c. szeroki, szafirowy w kratę ponsową, niebieską i żółtą; a ryc. 34 szalik 17 cent. szeroki, przerabiany na tle białem w paski poprzeczne różnokolorowe i złote. Kokarda ryc. 35, służąca do ubrania głowy albo sukni, zrobiona była ze wstążki w kolorze zielonym chartreuse i z gałązki bzu białego.

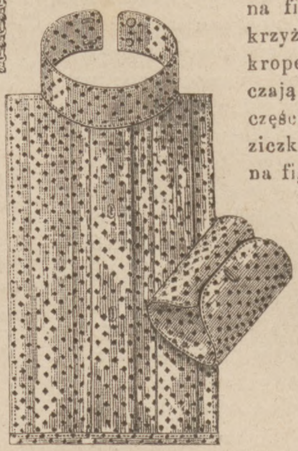
N. 36 i 42 Kapotka orzechowa słomkowa, ubrana wstążką aksamitną, 6 cent. szeroką, mchowego koloru, szlaczkami 16 cent. szerokiemi z krepy orzechowej, haftowanemi jedwabiem bronzowym i żółtym i bukietem z polnych kwiatów.



N. 7—10. Chusteczki do nosa. Patrz ryc. 3—5.



N. 14. Ręcznik z siatką gipiurową i wyszyciem. Patrz ryc. 13.



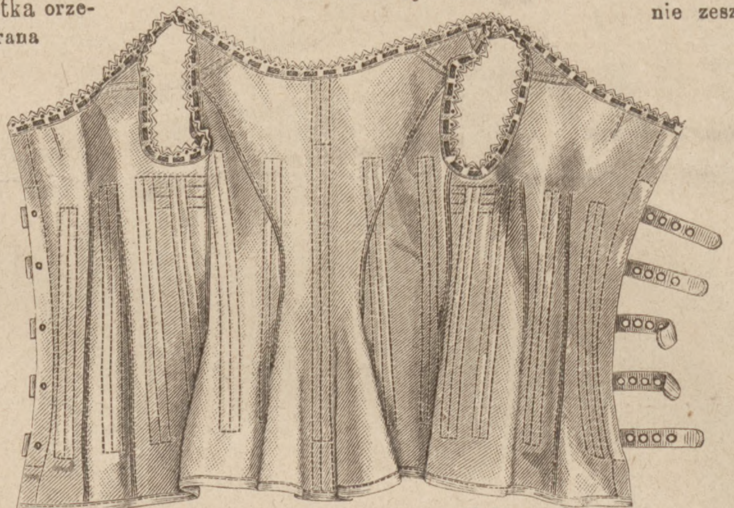
N. 11—12. Szmizetka i mankiet.



N. 15. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 65—72.



N. 16. Paletocik dla dziewczynki lat 4—6.



N. 17. Gorset. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—12.

N 36—37. Ubrania spacerowe.

N. 38. Ubranie z płaszczykiem dla starszych dam. Krój i przód na dodatku z formami fig. 30—31.

Ryc. 38 i fig. 31 przedstawia płaszczyk formą dolmanową, który łatwo przykroić można podług wzoru i miar podanych na fig. 30. Model odrobiony był z grubego wełnianego materyału kawowego koloru, ozdobiony wąską koronką wełnianą, której przyszycie przykrywał sutasz.

N. 39. Ubranie z paletocikiem dla młodej panienki. Forma na dodatku z krojami N. XIV, ſg. 57—62.

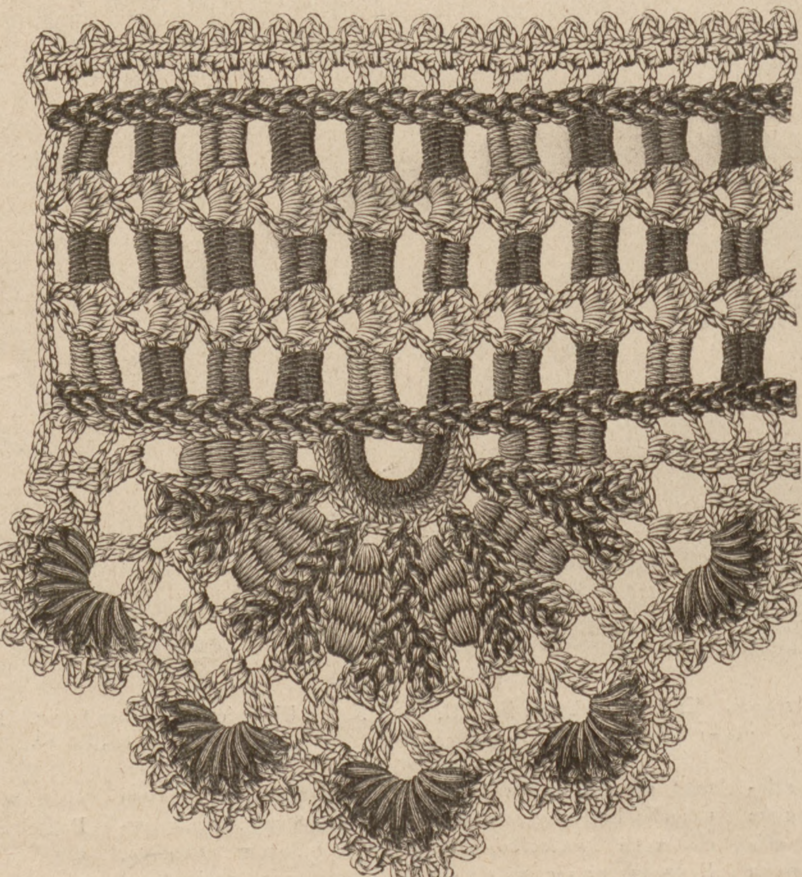
Cienka linijka na fig. 58, oraz krzyżyk i dwukropek, oznaczają przyszycie części kamizelkowych, z przodu na guziczki zapiętych, których formę dajemy na fig. 57. Na modelu odrobionym z bronzowego wełnianego materyału double, części kamizelkowe z materyi ottoman takiegoż koloru, ozdobione były dwoma, jedna na drugiej danemi pliskami. Pierwsza, spodnia pliska nie dochodzi na jeden cent. do brzegu kamizelki drugą zwierzchnia, zachodzi 1 cent. na poprzednią; obiedwie tworzą na 13 c. poniżej wykroju szyi kontrafałdę, a 7 c. niżej fałdy plisowane. Rewersy, oznaczone linijką na fig. 58, są także z ottomanu. Rękawy wązkie są u dołu na 10 cent. nie zeszyte i zapinane na guziczki. Brzegi paletocika zdobi pletnia i stębnówka.

N. 40. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.

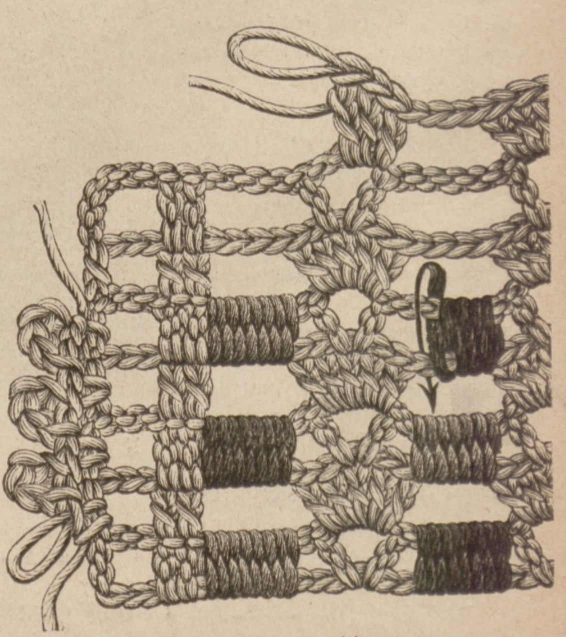
Materya jedwabna, kaszmir lub gruba tkanina wełniana może być użyta na suknię przedstawioną na ryc. 40. Spódnica podszewkowa naszyta jest wokoło u dołu plisowaniem 10 cent. szerokiem, z lewego boku dany klin plisowany. Prze-



N. 19. Część zęba do koronki ryc. 18 i 20.



N. 18. Koronka szydełkowa wyszywana kolorową bawełną. Patrz ryc. 19—20.

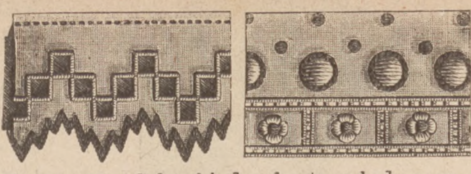


N. 20. Górna część koronki ryc. 18.

dni bryt u dołu przyszyty szwem odwracanym i spuszczony w bufę, w górze dopełniony upięciem à panier, wymierzonem podług litery *a* na fig. 7. Tylny bryt *b* fałduje się podług znakow. Boczki stanika fig. 2—3 przedłużone są w patki i ozdobione wielkiemi szmuklerskiemi guzikami; przody sznurują się środkiem.



N. 23-24. Żabot krepowy.



N. 21—22. Szlaczki do chusteczek do nosa. Patrz ryc. 3—5 i 7—10.

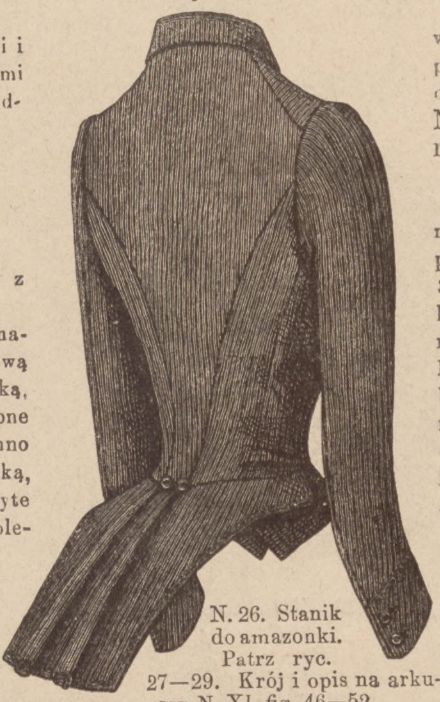
Opis do N-ru 15.

N. 1. Stanik z materyału jersey z kamizelką.

Model z czarnego trykotowego materyału (jersey), przybrany ponsową wełnianą pletnią, 1 1/2 cent. szeroką, ma szeroko otwarte przody dopełnione kamizelką 37 cent. długą, z ciemno ponsowego jersey, 60 cent. szeroką, a sfałdowaną do 18 cent. i zapiętą z boku na kryte haftki. Pasek bawetowy, 7 cent. szeroki, naszyty pletnią, obciska kamizelkę u dołu.

N. 3. Okrycie krótkie balowe (sortie de bal).

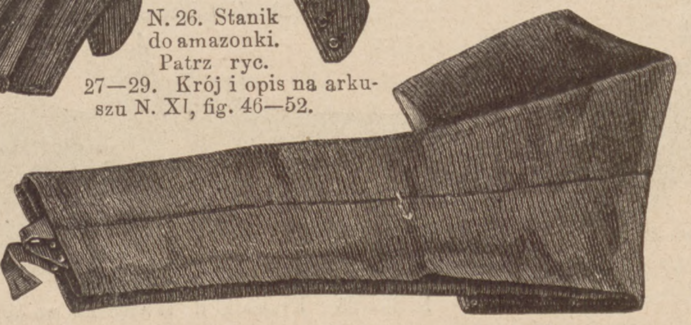
Krótkie okrycie z dolmanowemi rękawami, uszyte z kolorowego pluszu, na pikowanej atłasowej podszewce, przybrane jest szeroką hiszpańską koronką, której deseń obwodzony jest nitką złotą. Brzegi kołnierza i wykładów zakończone haftem złotem.



N. 26. Stanik do amazonki. Patrz ryc. 27—29. Krój i opis na arkuszu N. XI, fig. 46—52.



N. 27—28. Spódnica do amazonki. Patrz ryc. 26 i 29. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 55—56.



N. 29. Majtki do jazdy konno. Patrz ryc. 26—28. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 53—54.

N. 5. Kapelusz do jazdy konno.

Ryc. 5 przedstawia tradycyonalny cylinder z wysoką główką i wązkiem, z boków wywiniętem rondkiem; czarna repsowa wstążka opasuje gładko główkę, przybranie stanowią krótkie strusie piórka, przypięte z boku, a zwracające się do przodu i do tyłu.

N. 7—15. Rozmaite przybory do jazdy konno. Krój czapraka patrz fig. 32—33.

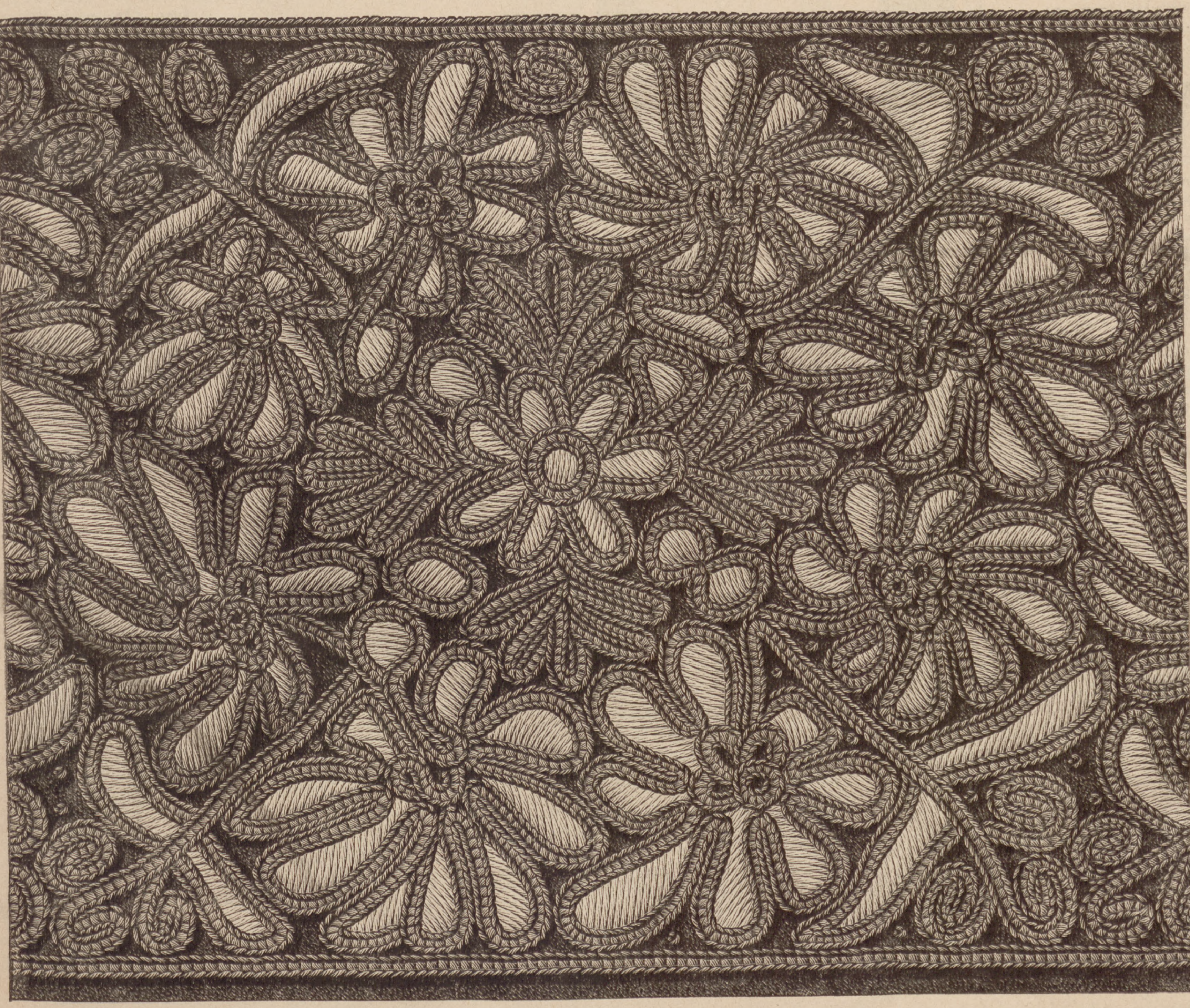
Czaprak z bronzowego sukna na flanelowej podszewce kraje się podług wymiaru wskazanego ua fig. 32, zaś fig. 33 daje w naturalnej wielkości część deseniu na szlak brzeżny, odrobiony jedwabiem bronzowym do cieniu. Duży monogram zdobi narożnik z prawego brzegu czapraka. Na wachlarzu odmalowana scena z polowania. Rękawiczki stosownie do gustu mogą być jelonkowe ze sztylpami, lub Derby z grubem wyszyciem zwierzchu. Szpicruta ma rączkę srebrną oksydowaną w kształcie głowy końskiej. Nawet i biżuterya przy amazonce składa się z różnych wyrobów, wyobrażających przybory do jazdy konno.



N. 25. Kapotka koronkowa. Patrz ryc. 41.

N. 16. Koszyczek z wypukłemi kwiatami.

Pręciki trzcinowe złocone służą na koszyczek ozdobiony z jednego boku bukietem kwiatów z massy przyrządzonej z gumą; wyrabiając kwiaty trzeba mieć za wzór bukiet naturalny lub naśladować z dobrego rysunku. Po wy-



N. 30. Haft łańcuszkowy węgierski do ryc 24 w N. 15.

kończen'u i wysuszeniu kwiaty pociąga się farbą bronzową w różnych cieniach.

N. 18—20. Krzesło z poduszką. Patrz fig. 79.

Model poduszki miał pokrycie z gobelinowego płótna, ozdobione malowaniem i aplikacyą z pluszu. Ponieważ malowanie nie dla każdej z czytelniczek jest przystępne, można je zastąpić samą aplikacyą, której deseń wna-



N. 36. Kapotka słomkowa. Patrz ryc. 42.



N. 31—32. Kołnierz chusteczkowy.



N. 33—35. Krawatki do zawiązania na okryciu.



N. 37. Kapelusz aksamitny.

turalnej wielkości dajemy na ryc. 20 i na fig. 79. Brzegi desenia obwodzone są sznureczkiem średniej grubości, który prócz tego naszyty jest kilkakrotnie na tle; na środkowym pasku aplikacyi w równych odstępach dziergane są kółeczka z wypukłemi supełkami w środku. Wierzch poduszki z częścią spodnią złączony jest sznurowaniem, ku czemu służą dziurki odziergiwane wierzchem na podłożeniu mosiężnych kółeczek dla mocy i sznur wiązany w kokardy na rogach przednich, podług ryc. 19. Na tylnej poręczy krzesła dany obrazek malowany na drzewie.

N. 21. Ubranie balowe. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 73—74.

Jasno szafirowa gaza i plusz tego samego koloru, stanowi materyał na ubranie balowe przedstawione z przodu na r. 21, a z tyłu na f. 74. Spódnica u dołu ozdobiona sutą girlandą z pączków różanych; draperya przednia wymierzona podług *a* na f. 73, wokoło brzegów oszyta szeroką plisą pluszową, ułożona jest w całej długosci w płaskie fałdy i przyczepiona do przodu wzdłuż prawego brzegu. Prawy bok sukni fałduje się podług r. 21 i zdobi bukietami kwiatów. Tylna draperya wskazana pod litarą *b*, fałduje się przy górnym brzegu i podpina przy 110 podług krzyżyków i kropek. Stanik z okrągłym wykrojem w górze, zapinany z tyłu, ma przody marszczone berta i pasek bawetowy z pluszu.

N. 24. Kosz na srebro stołowe. Patrz ryc. 18 i 30 w N. 14 i fig. 35 na arkuszu z krojami.

Pleciony z bronzowej trzcinki liczy 50 c. długości, 40 szerokości a 21 wysokości. Wieczko ozdobione jest haftem węgierskim łańcuszkowym, który opisywaliśmy szczegółowo w N. 10 T. M. przy r. 23-24. Tło pod haft stanowi flanelka ciemno ponsowa, do wyszycia użyta włóczka hamburgska blado niebieska i drzewnego koloru, pierwszą haftuje się kontury, drugą zapełnia środki desenia, dane ściegiem płaskim, jak to wskazuje r. 30 w N. 14. Boki koszyczka można ozdobić lambrekiną haftowaną podług f. 35, albo też otoczyć szlakiem szydełkowym, wykonanym podług r. 18 w N. 14 Na przyszyciu pokrycia haftowanego do wieczka dany szlaczek z kulek łączonych z sobą, a na rogach duże pompony z włóczki.

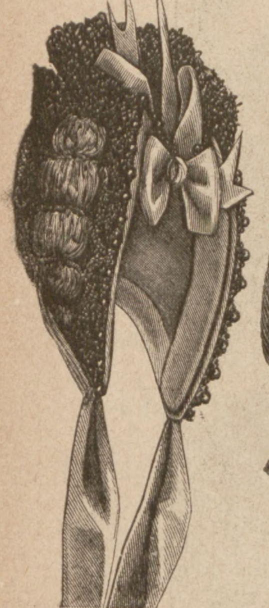
(*D. n.*)



N. 38. Ubranie z okryciem dla starszej osoby. Krój i przód na arkuszu N. X, fig. 30—31.

N. 39. Suknia z paletocikiem dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 57—62.

N. 40. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu z formami N. I, fig. 1—7.



N. 41. Przód do ryc. 25.



N. 42. Kapotka słomkowa. Przód na ryc. 36.